



Johnny Mayhem

---

Stephen Marlowe

**Johnny Mayhem**

**Dwie przygody**

OPOWIADANIA

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz

## SPIS TREŚCI:

Miejsce w pełnym świetle.

Dom jest tam skąd pochodzisz.

Zamyślić się na śmierć.

Planeta nazywana Purpurą.



C. H. Thames (Stephen Marlowe – Milton Lesser<sup>1</sup>)

# Miejsce w pełnym świetle

(A Place in the Sun)

Listopad 1956

---

<sup>1</sup> Autorem opowiadania jest Stephen Marlowe, autor który najbardziej znany jest pod jednym ze swoich pseudonimów literackich Milton Lesser.

*Jeżeli nigdy jeszcze nie czytałeś opowieści o Johnnym Mayhemie, to czeka cię prawdziwa uczta. Johnny, który zakłada na siebie różne ciała, tak jak normalni ludzie noszą ubrania, to jedna z najbardziej fascynujących postaci serii opowiadań, w science fiction”*

**S**ygnał SOS wśród trzasków i szumów mknął przez podprzestrzeń, z szybkością która pozostawiała powolne światło daleko z tyłu. Ponieważ odległości w podprzestrzeni mają się nijak do odległości w przestrzeni normalnej, jako pierwszy sygnał SOS odebrał fomalhautiański frachtowiec, zmierzający na Capellę, pomimo tego że wysłany został z punktu znajdującego się, w normalnej przestrzeni, w Układzie Słonecznym, w połowie drogi między orbitą Merkurego a koroną słoneczną.

Radiooperator fomalhautiańskiego frachtowca przekazał odebrany komunikat oficerowi wachtowemu, który tylko na niego spojrzął, zamrugał oczyma, i rzucił się na złamanie karku, na górny pokład, do kajuty kapitańskiej. Kiedy dotarł do jej drzwi, twarz miał zupełnie białą, a serce waliło mu z podniecenia jak młotem. Kiedy oficer wachtowy przeciął promień fotokomórki przed drzwiami, odezwał się metaliczny głos:

– Kapitan jeszcze śpi i wolno go budzić wyłącznie w przypadku, poważnych nagłych wypadków.

Oficer wachtowy skinął głową, przyłożył kciuk do zamka elektronicznego w drzwiach i wszedł do kajuty.

– Proszę o wybaczenie, sir – zawołał, – Ale właśnie przed chwilą otrzymaliśmy sygnał SOS od...

Kapitan poruszył się rozespany, usiadł, włączył zieloną nocną lampkę i popatrzył zmrużonymi oczyma na oficera wachtowego.

– No i o co chodzi? Czy Oko już nie działa?

– Tak jest, sir. Ale sir, SOS...



- Jeżeli jesteśmy na tyle blisko żeby im pomóc, w podprzestrzeni czy też w normalnej przestrzeni, proszę podjąć normalne kroki, panie poruczniku. Z pewnością nie ma potrzeby, abym to ja...

- Sir, normalne kroki nie mogą zostać podjęte. Na tyle, o ile mogę się zorientować, ten statek jest skazany na zagładę. Znajduje się na kursie kolizyjnym z Sol, i obecnie jest już w odległości jedynie dwudziestu milionów mil od niego.

## Johnny Mayhem

---

- To fatalna wiadomość, panie poruczniku - kapitan oznajmił to z prawdziwym współczuciem w głosie. - Przykro mi to słyszeć. Ale co pan chce, abym z tym zrobił?

- Chodzi o statek, sir. Ten statek, który wysłał sygnał SOS... proszę przytrzymać się koi, sir...

- Może przejdzie pan już do rzeczy, dobrze, młody człowieku? - warknął kapitan rozespanym głosem.

- Ten statek, który wysłał sygnał SOS, statek lecący kursem kolizyjnym na Sol, to *Chwała Galaktyki!*

Przez chwilę kapitan nie był w stanie wykrztusić nawet słowa. Gdzieś, z oddali, dolatywał do niego szum podprzestrzennej jednostki napędowej i słabe pojękiwanie generatora stazy. Potem kapitan podpinał się od łóżka i zerwał się z niego. W pośpiechu zapomniał jednak, że statek znajduje się w pobawionej siły ciężkości otwartej przestrzeni, i popłynął przez pomieszczenie, młócąc w powietrzu rękoma. Porucznik pomógł mu znaleźć się z powrotem na podłodze, i założyć buty z magnetycznymi podeszwami.

- Mój Boże - w końcu zastanawiał się kapitan. - Jak to się mogło stać? Jak to się mogło przydarzyć właśnie *Chwale Galaktyki?*

- Co pan ma zamiar zrobić, sir?

- Nic nie mogę zrobić. Nie mogę wziąć za to odpowiedzialności. Niech radiooperator natychmiast skontaktuje się z Ośrodkiem.

- Tak jest, sir.

*Chwała Galaktyki*, statek który nadał komunikat SOS i kierował się kolizyjnym kursem na Słońce, znajdował się w dziewiczym rejsie, w który wyruszył z krążących wokół Ziemi satelitów montażowych. Miał wykonać przysłoneczne przejście przez wewnętrzną przestrzeń układu solarnego, które powinno przeprowadzić go w odległości dwudziestu paru milionów mil od Słońca, w kierunku Marsa, który obecnie znajdował się po przeciwnej stronie Sol w stosunku do Ziemi. Na pokładzie błyszczącego nowością statku znajdował się prezydent Federacji Galaktycznej, wraz z całym swoim gabinetem.

---

**W**iadomość alarmowa z fomalhautiańskiego transportowca, została odebrana przez Ośrodek Galaktyki, już po kilku chwilach od jej nadania, chociaż odległość w normalnej przestrzeni wynosiła między nimi mniej więcej sto tysięcy lat świetlnych. Wiadomość była przerzucana -- w zadziwiająco krótkim czasie -- od biura do biura Ośrodka, przebijając się przez zwyczajową biurokrację, dzięki swojemu najwyższemu, bezwzględnemu priorytetowi. I -- ponieważ żadna z normalnych agencji Ośrodka nic nie mogła z nią zrobić -- wiadomość w końcu dotarła do biura, które bardzo rzadko otrzymywało jakiegokolwiek oficjalne wiadomości. Było to bowiem bardzo nieoficjalne, ponad-prawne biuro Ośrodka Galaktyki. Ponieważ nie miało ono żadnej oficjalnej funkcji, z technicznego punktu widzenia po prostu nie istniało, i nie można było go znaleźć w żadnym z informatorów Ośrodka. W chwili obecnej, siedziało w nim dwóch młodych mężczyzn. Ich jedynym zadaniem było utrzymywanie łączności z człowiekiem, którego samo istnienie poddawane było w wątpliwość przez większość ludzi zamieszkujących Galaktykę, a którego znaczenie, w tych dawnych czasach, gdy Liga Galaktyczna stawała się Federacją Galaktyczną, nie dawało się mierzyć przy pomocy zwykłych ludzkich standardów.

Człowiek, z którym utrzymywali kontakt, nazywał się Johnny Mayhem.

- Czy przeczytałeś to? - spytał jasnowłosy mężczyzna.

- Tak, przeczytałem.

- Jeżeli dotarło to aż tutaj, to oznacza, że nie można tego załatwić nigdzie indziej.

- Oczywiście, że nie można. Co takie zwykłe kołki, jak oni, albo jak my sami, moglibyśmy z tym robić?

- Nic, jak mi się wydaje. Ale poczekaj no! Nie chcesz chyba powiedzieć, że masz zamiar wysłać tam Mayhema, nie pytając go o to i nic mu nie mówiąc...

- Przecież teraz nie możemy go spytać, co nie?

- *Elan* Johnny'ego Mayhema w tej chwili mknie z Canopusa na Deneba, gdzie na czwartej planecie Układu Denebiańskiego, czeka na niego w zamrażarce martwe ciało. Przekształcenie Układu Denebiańskiego ze statusu Ligi do



## Johnny Mayhem

---

Federacji, wywołało w Deneb City szereg problemów, a więc Mayhem...

- Deneb City prawdopodobnie jakoś bez Mayhema przeżyje. Czy nie tak?

- Pewnie tak, ale...

- Wiem. Zgodnie z umową, mamy obowiązek powiedzieć Mayhemowi gdzie się udaje i czego powinien oczekiwać na miejscu. Również zgodnie z umową, każda zamieszkała planeta przechowuje w zamrażarce ciało, czekające na jego *elan*. Ale czy nie wydaje ci się, że gdybyśmy mogli powiedzieć Mayhemowi teraz...

- To niemożliwe. Jest w trakcie tranzytu.

- Czy nie wydaje ci się, że gdybyśmy jednak mogli z nim teraz pogadać, to zgodziłby się udać na pokład *Chwały Galaktyki*?

- A skąd niby mam to wiedzieć? Ja nie jestem Johnnym Mayhemem.

- Jeżeli on nie znajdzie się na pokładzie tego statku, to oznacza dla nich pewną śmierć.

- A jeżeli przierzucimy go na jego pokład, to co on u licha może tam zrobić? Poza tym, na tym statku, podobnie jak i na żadnym innym, nie mamy lodówki z ciałem, które by czekało na jego *elan*. Mógłby co najwyżej grać rolę bardzo efektownego ducha.

- Ale są żywi ludzie. Całe mnóstwo. *Elan* Mayhema jest absolutnie zdolna do przejścia żywego nosiciela.

- Pewnie. Teoretycznie to jest możliwe. Ale, do diabła, jakie będą tego skutki? Nigdy tego nie robiliśmy. To mogłoby nawet Mayhemowi zaszkodzić. A co do nosiciela...

- Nosiciel może umrzeć. Wiem o tym. Ale przecież on i tak umrze. Cały statek pełen ludzi leci kursem kolizyjnym w Słońce.

- Czy komunikat SOS mówi dlaczego?

- Nie. Może Mayhem zdoła się tego dowiedzieć i coś z tym zrobić.

---

- **T**aaa, może. To cholernie głupi sposób na ryzykowanie życiem najważniejszego człowieka Galaktyki. Przecież jeżeli

## Johnny Mayhem

---

Mayhem dostanie się na pokład tego statku, i nie zdoła zapobiec katastrofie, to zginie razem ze wszystkimi pozostałymi.

- Dlaczego? Zawsze możemy wydostać stamtąd jego *elan*.

- Gdyby znajdowała się w ciele martwej osoby. W żyjącym ciele, nie wydaje mi się. Przyciąganie będzie silniejsze. Musimy wziąć pod uwagę siły spójności...

- To prawda. Nadal jednak Mayhem jest naszą jedyną nadzieją.

- Zgadzam się z tym, że to jest robota dla Mayhema, ale on jest zbyt ważny.

- Naprawdę jest? Nie bądź głupcem. Na czym właściwie polega znaczenie Johnny Mayhema? Jego znaczenie polega na tym, że można spisać go na straty. Jego życie -- za pomoc dla nowej Federacji Galaktycznej.

- Ale...

- A na pokładzie tego statku jest prezydent. Być może na dłuższą metę, nie jest on w stanie zrobić tak wiele dla Galaktyki co Mayhem, ale, człowieku, nie możesz traktować go jako marionetki. W obecnej chwili to on jest najważniejszym człowiekiem w Galaktyce, i gdybyśmy tylko mogli z nim porozmawiać, pewien jestem, że Mayhem by się ze mną zgodził.

- To zabawne, że tyle lat już pracujemy z Mayhemem, a nigdy nawet nie mieliśmy okazji gościa spotkać.

- Poznałbyś go, gdybyś go zobaczył?

- Hmm...mm, nie wydaje mi się. Myślisz, że naprawdę możemy zatrzymać jego *elan* w podprzestrzeni i przerzucić ją na *Chwałę Galaktyki*?

- Przyjmuję, że zaczynasz widzieć sytuację w podobny sposób jak ja. A odpowiedź na twoje pytanie brzmi, tak.

- Biedny Mayhem. Wiesz, tak prawdę mówiąc, to facetowi współczuję. Przeżył już więcej przygód, niż ktokolwiek od czasu napisania przez Homera *Odysei*, a nigdy nie będzie mógł zaznać spoczynku.

- No to skończ z tym współczuciem dla niego, i zacznij mieć nadzieję, że odniesie kolejny sukces.

- Taaa.

- I zobaczymy czy uda nam się namierzyć jego *elan*.

Dwóch młodych mężczyzn podeszło do 3D mapy, która zajmowała większość pomieszczenia. Jeden z nich nacisnął przycisk i mapa rozjarzyła się niebieskim światłem, jasno i wyraźnie pulsującym w miejscach gdzie przecinały się różne sektory kosmosu.

– Jest teraz w C-17 – powiedział jeden z mężczyzn, kiedy nagle w pewnym miejscu na niebieskie tło nałożony został błyszczący biały punkt.

– Możesz go namierzyć?

– Chyba tak. Ciągłe jednak współczuję Mayhemowi. Spodziewa się obudzić w ciele z zamrażarki na Denebie IV, a zamiast tego znajdzie się w żywym ciele na pokładzie statku kosmicznego, zmierzającego kursem prosto w środek Słońca.

– Po prostu trzymaj kciuki, żeby...

– Wiem. Żeby mu się udało. Nawet nie chcę dopuszczać do siebie myśli, że może ponieść porażkę.

W czasie kilku sekund, jasny biały punkt, przesunął się po powierzchni 3D mapy, z sektora C-17 do sektora S-1.

---

**C**hwała Galaktyki znajdowała się obecnie w odległości dziewiętnastu milionów mil od Słońca i pędziła przez kosmos na napędzie działającym w normalnej przestrzeni, z szybkością stu mil na sekundę. Tak więc w ciągu każdych trzech godzin, *Chwała Galaktyki* zbliżała się do zagłady w płomieniach, o okrągły milion mil. Jednak ponieważ do tej szybkości należało dodać siłę przyciągania grawitacyjnego, statek miał zanurzyć się w koronę słoneczną, w czasie nieco dłuższym, niż dwadzieścia cztery godziny.

Ponieważ układy chłodzące statku powinny działać doskonale, do chwili kiedy kadłub nie rozgrzeje się do temperatury tysiąca stu stopni Fahrenheita, żaden z pasażerów nie wiedział nawet, że dzieje się coś złego. Nawet marynarze z załogi, wykonywali swoje normalne czynności. Jedynie oficerowie *Chwały Galaktyki*, chodzący w zupełnie nowiutkich mundurach ze złotymi szamerunkami, znali ponurą prawdę o tym, co czekało błyszczący, statek o wyporności dwóch tysięcy ton, za mniej niż dwadzieścia

cztery godziny, dokładnie w punkcie środkowym jego przejścia przysłonecznego.

Jakaś -- jak do tej pory jeszcze niezidentyfikowana -- z tych wszystkich tysięcy złożonych rzeczy, które mogą pójść źle na statku kosmicznym, a szczególnie nowym statku, odbywającym swój dziewiczy rejs, poszła źle. Oficerowie drobiazgowo sprawdzali swoje działy i różne elementy procedury służbowej -- i to wcale nie dlatego, że zagrożone było ich własne życie. Podczas lotu kosmicznego, twoje własne życie zawsze jest zagrożone. Na zbyt wiele rzeczy nie ma się wpływu: do pewnego stopnia zawsze jest się spisanim na straty. Kontyngent zaokrętowany na pokład *Chwały Galaktyki*, stanowił doborową grupę, pieczołowicie wybraną spośród wszystkich oficerów w Układzie Słonecznym.

---

**N**iczego jednak nie byli w stanie znaleźć. Ani niczego zrobić.

Za niecałą dobę ich życie, razem z życiem marynarzy, którzy zaciągnęli się na pokład *Chwały Galaktyki* i pasażerów biorących udział w jej dziewiczym rejsie, wyparuje w niesamowitej eksplozji słonecznego żaru.

A prezydent Federacji Galaktycznej miał zginąć, ponieważ jakaś nieznaną przyczyną zablokowała stery statku kosmicznego, uniemożliwiając jego skręt, albo użycie rakiet dziobowych dla przeciwdziałania przyciąganiu grawitacyjnemu Słońca.

Dziewiętnaście milionów mil. W normalnej przestrzeni, to znaczna odległość. Sto mil na sekundę -- bardzo znaczna prędkość jak na normalną przestrzeń. Powiększająca się...

---

**O**d czasu kiedy opuścili satelity montażowe Ziemi, Sheila Kelly często widywała, należącego do korpusu ochrony prezydenta, agenta Secret Service, który nazywał się Larry Grange. Lubiła Larry'ego, aczkolwiek w relacjach między nimi nie było nic poważnego. Był przystojny i czarujący, a jej, w naturalny sposób, schlebiało jego zainteresowanie. Pomimo

tego, że był starszy niż Sheila, wyczuwała że był on ciągle bardziej chłopakiem niż mężczyzną i odnosiła dziwne wrażenie, że postawiony w obliczu prawdziwego kryzysu, mógłby w tragiczny sposób potwierdzić jej odczucia.

Na pokładzie *Chwały Galaktyki* panowała noc. Należało przez to rozumieć, że na korytarzach i w publicznych pomieszczeniach statku, białe światła dzienne zostały zastąpione przez niebiesko-zielone oświetlenie nocne. Wszystkie porty widokowe były szczelnie zamknięte dla ochrony przed szaleńczym blaskiem słonecznym. Trudno było uwierzyć, pomyślała sobie Sheila, że znajdowali się jedynie dziewiętnaście milionów mil od Słońca. Wszędzie było tak chłodno, wszystkie pomieszczenia były tak komfortowo klimatyzowane...

Miała się spotkać z Larrym w Salonie Słonecznym, sympatycznym kabarecie, który podobał jej się tak, jak żaden inny ziemski klub nocny, jaki miała okazję zobaczyć kiedykolwiek wcześniej. Ściany pokrywały stylizowane rysunki znaków zodiaku, a sufit wspierał się na niebiesko lśniących lustrzanych kolumnach. Podobnie jak w przypadku wszystkich pozostałych pomieszczeń na pokładzie *Chwały Galaktyki*, z trudem można było uwierzyć, że Salon Słoneczny jest częścią statku kosmicznego. A dla Sheili Kelly -- która była trzecim sekretarzem departamentu Ekonomii Galaktycznej -- całe to otoczenie było absolutnie ekscytujące.

- Witaj, Larry - powiedziała, kiedy agent Secret Service dołączył do niej, przy ich stoliku. Był wysokim młodym mężczyzną, zbliżającym się do trzydziestki, z obciętymi na krótkiego języka jasnymi włosami. Teraz jednak usiadł tylko ciężko na krzeselku i nie obdarował Sheili swoim zwyczajowym uśmiechem.

- O co u licha chodzi? - spytała go Sheila.

- O nic. Potrzebuję tylko drinka, to wszystko.

Przyniesiono drinki. Larry wychylił swojego jednym haustem i zamówił kolejnego. Jego całkowite milczenie zdumiało Sheilę, która w końcu stwierdziła:

- Z pewnością nie chodzi o coś, co ja zrobiłam.

- Ty? Nie bądź głupia.

## Johnny Mayhem

---

- No wiesz! Biorąc pod uwagę sposób, w jaki to powiedziałeś, to nie wiem czy powinnam się cieszyć, czy gniewać.

- Zapomnij o tym, proszę. Bardzo cię przepraszam, słonko. Ja... - wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni. Jego własna dłoń, była wilgotna i zimna.

- Czy powiesz mi w końcu co się stało, Larry?

- Posłuchaj. Co ma zrobić człowiek, który podsłuchał coś, co nie było przeznaczone dla jego uszu, i...

- Skąd mogę wiedzieć, jeżeli nie powiesz mi co podsłuchałeś? Bo właśnie o tym w tej chwili rozmawiamy, nieprawdaż?

- Taaa. Byłem właśnie po służbie, i przechodziłem koło kwater oficerskich, kiedy... och, dajmy już temu spokój. Lepiej niczego ci nie powiem.

- Jestem dobrą słuchaczką, Larry.

- Posłuchaj, Irlandko. Jesteś dobra we wszystkim, i to jest szczerą prawdą. Dobrze wyglądasz, i masz głowę nie od parady. I jak mi się wydaje, że pod całą tą impertynencją Szmaragdowej Wyspy, kryje się również dobre serce. Ale...

- Ale nie chcesz mi powiedzieć o co chodzi.

- To nie tak, że ja nie chcę, ale nikt nie powinien o tym wiedzieć, nawet prezydent.

- Z pewnością udało ci się tak to wyrazić, że zabrzmiało to strasznie tajemniczo.

- Tylko oficerowie. Och, do diabła. Sam już nie wiem. Co by to dało, nawet gdybym ci o tym powiedział?

- Wydaje mi się, że ulżyłoby ci trochę na sercu, i to wszystko.

- Oficjalnie, nie powinienem tego mówić nikomu, Sheila. Kosztowałoby mnie to głowę. Ale muszę to przemyśleć, i muszę o tym z kimś porozmawiać. Chyba oszaleję, wiedząc co się dzieje i nic z tym nie robiąc.

- To bardzo ważne, nieprawda?

---

**L**arry szybko wlał w siebie kolejnego drinka. To już był jego czwarty, a Sheila nigdy wcześniej nie widziała, żeby wypijał więcej niż trzy lub cztery w trakcie całego wieczora.

## Johnny Mayhem

---

- Masz cholerną rację, to jest bardzo ważne - Larry nachylił się w jej stronę, ponad malutkim stolikiem. Kiedy mówił do niej, jego oczy zaciemniała wywołana alkoholem mgiełka. - To jest takie ważne, że jeżeli ktoś z tym czegoś nie zrobi, to za niecałe dwadzieścia cztery godziny, wszyscy będziemy martwi. Tylko problem na tym polega, że nie ma nic, co ktokolwiek mógłby z tym zrobić.

- Larry... jesteś już nieźle podпиты.

- Wiem o tym. Wiem, że jestem. Chcę być pijany dużo bardziej. Co u diabła człowiek może na to poradzić?

- Co ty wiesz, Harry? Czego się dowiedziałeś?

- Wiem, że tutaj na pokładzie znajduje się prezydent Federacji Galaktycznej, i że jemu powinno się powiedzieć prawdę.

- Nie. Chodziło mi...

- Wysłali sygnał SOS, mała. Stery są zablokowane. Szalupy ratunkowe nie mają dostatecznie dużej mocy, aby wyrwać nas z uścisku przyciągania grawitacyjnego Słońca. Wszyscy tutaj usmażymy się na skwarki, mówię ci!

Sheila poczuła dziwne walenie serca. Nawet jeżeli zaszedł już całkiem daleko na drodze do tego, by się kompletnie upić, to Larry mówił prawdę. Instynktownie zdawała sobie z tego sprawę -- była tego pewna.

- I co masz zamiar zrobić? - spytała go.

Wzruszył ramionami.

- Wydaje mi się, że ponieważ nie jestem w stanie zrobić nawet najmniejszej przeklętej rzeczy, to mam zamiar wstawić się i kompletnie się upić. To właśnie teraz zrobię. Albo może -- a kto to u diabła może wiedzieć? -- może za minutę zachce mi się wskoczyć na ten stół i opowiedzieć wszystkim o tym, co podsłuchałem. Myślisz, że może powinienem tak zrobić?

- Oj, Larry, Larry... jeżeli jest tak źle jak mówisz, to może powinieneś trochę pomyśleć, zanim w ogóle zrobisz cokolwiek?

- A kimże ja jestem, żeby myśleć? Ja jestem zwykłym mięśniakiem. To za to mi właśnie płacą, co nie?

- Larry, nie musisz krzyczeć.

- Czyżby? Naprawdę nie muszę?

- Jeżeli się nie uspokoisz, to będę musiała sobie pójść.

## Johnny Mayhem

---

– Możesz spokojnie siedzieć dalej. Możesz zakotwiczyć tutaj nawet na całą noc. *To ja* sobie idę.

– Co ty wyprawiasz?

– Ot... właśnie to. – Larry wstał od stołu. Nagle wyglądało jakby pozieleniał, a Sheila pomyślała sobie, że to z powodu nadmiaru wypitego alkoholu. – Nie musisz się o mnie martwić, Sheila. Teraz już nie musisz. Nagle, poczułem się jakoś tak nienajlepiej. Głowa mnie boli. Jezu, nigdy jeszcze nie czułem czegoś podobnego. Lepiej pójdę do swojej kabiny i trochę się położę. Może kiedy się obudzę, to okaże się, że wszystko było tylko złym snem, co?

– Nie potrzebujesz jakiejś pomocy? – dopytywała się Sheila, z prawdziwym zatroskaniem w głosie.

– Nie. Dam sobie radę. Kobieto, ten ból głowy naprawdę zwala mnie z nóg. Ouć! Bez żadnego ostrzeżenia.

– Pozwól, że ci pomogę.

– Nie. Po prostu zostaw mnie w spokoju, dobrze? – Larry zataczając się, ruszył przez zatłoczony parkiet taneczny. Ze wszystkich stron bombardowały go gniewne spojrzenia i szeptane komentarze od kolejnych par, którym przeszkadzał w krążeniu w rytm walca „Dunaj w Kosmosie” Carlottiego.

Dlaczego masz pretensje Grange, pomyślał sobie Larry, z trudem idąc zejściówką w stronę swojej kabiny. Przecież to jest coś, czego zawsze chciałeś, co nie?... Zając jakieś ważne miejsce.

Miejsce w pełnym świetle, tak to się nazywa.

– Dobra, będziesz miał swoje miejsce w pełnym świetle – wymamrotał na głos, sam do siebie. – Roztrzaskasz się dokładnie w samym środku Słońca, razem ze wszystkimi innymi na pokładzie tego statku!

Czarny humor tej myśli, przewrotnie go rozbawił. Uśmiechnął się -- chociaż uczucie jakie go opanowało bliższe było szyderstwu -- i pchnięciem otworzył drzwi swojej kabiny. To co powiedział Sheili, wcale nie było wymówką. Ból głowy rzeczywiście rozdzierał mu czaszkę. Spadł na niego całkowicie nagle, i nie był podobny do żadnego bólu głowy, jaki przeżył kiedykolwiek wcześniej. Pulsował, łupał i wiercił mu w skroniach, wbijając rozżarzone do czerwoności igły w dno gałek jego oczu, niemal zupełnie go oślepiając. Wysysał z niego wszystkie siły, powodując że poczuł olbrzymią



## Johnny Mayhem

---

słabość fizyczną. Ledwie zdołał zamknąć za sobą drzwi i zataczając się dotrzeć do prysznica.

Lodowato zimny prysznic, pomyślał sobie, powinien mi pomóc. Szybko się rozebrał i wpadł pod rozpylone zimne igiełki. Do tej chwili był już taki słaby, że z trudem stał.

Miejsce w pełnym świetle, pomyślał sobie...

Coś złapało mu umysł i gwałtownie go skręciło.

---

**J**ohnny Mayhem obudził się.

Przebudzenie następowało powoli, zresztą tak jak zawsze. To był jakby wzlot ponad nieskończone przestworza, jakby powtórne narodziny człowieka, który umierał setki razy, i może umrzeć kolejne tysiące, podczas gdy lata gromadziły się i stawały się wiekami. Czuł jakby wirował, obracał się wzlatując w mgnieniu oka z ciemności w krainę mieniającą się kolorami, pełną jasności, oszałamiającą.

I nagle nastąpił koniec.

Obłok lodowatych igiełek zimnej wody, uderzał w niego, spływając mu po ciele. Zadygotał i sięgnął do kurków z wodą, zakręcając jej dopływ. Ociekając wodą, wygramolił się spod prysznica.

I poleciał -- zupełnie nieważki -- pod sam sufit.

Marszcząc brwi swojej nowej, i jeszcze nawet nie oglądanej, twarzy, Johnny Mayhem odepchnął się w stronę podłogi. Popatrzył na swoje ręce. Był zupełnie nagi -- przynajmniej tyle się zgadzało.

Ale ewidentnie, ponieważ znajdował się w stanie nieważkości, nie był na Denebie IV. Podczas transmigracji został wcześniej krótko wprowadzony w problemy, jakie pojawiły się na Denebie IV. Czy gdzieś została popełniona jakaś pomyłka? To zawsze było możliwe, ale nigdy wcześniej jeszcze się nie przydarzyło.

Za wiele związane z tym było dokładnego i uważnego planowania.

Każda planeta, na której mieszkali Ziemianie i na której znajdowała się placówka Ligi Galaktycznej -- a obecnie, Federacji Galaktycznej -- miała obowiązek przechowywać zamrożone ciało, oczekujące na Johnny'ego Mayhema, w

## Johnny Mayhem

---

razie gdyby potrzebne były jego usługi. Nikt nie wiedział, kiedy usługi Mayhema mogą być potrzebne. Nikt też nie wiedział, w jakich dokładnie okolicznościach Rada Federacji Galaktycznej, działającej z Ośrodka Galaktyki, może Mayhema wezwać. A jedynie bardzo niewielka grupa ludzi, nawet spośród tych znajdujących się w Ośrodku, Przywódców Ligi Galaktycznej na cywilizowanych planetach, i Obserwatorów na planetach pogranicza, znała precyzyjną mechanikę sposobu przybycia Mayhema.

---

**J**ohnny Mayhem, bezcielesna istota myśląca. Mayhem który -- wtedy jeszcze jako Johnny Marlow -- siedem lat temu był ściganym przez Ziemię pariasem i kryminalistą, który odniósł śmiertelną ranę na dzikiej planecie, daleko w głębi Roju Wodnika, któremu uratowała życie -- w pewnym sensie -- biała magia tej planety. Mayhem, który skazany był obecnie na potencjalną nieśmiertelność, jako bezcielesna osobowość, *elan*, mogąca zajmować i pobudzać do działania ciała, pod warunkiem że były one właściwie przechowywane... *elan* skazana na wieczną wędrówkę, ponieważ nie mogła w jednym ciele pozostawać dłużej niż przez miesiąc, nie narażając ciała i samej *elan*. Mayhem, który poświęcił swoje dziwne, samotne życie, służbie na rzecz Lidze Galaktycznej -- obecnie Federacji Galaktycznej -- ponieważ normalne życie i normalne stosunki społeczne były dla niego czymś niemożliwym...

Nie wydawało się możliwe, pomyślał po chwili Mayhem, aby mogła zostać popełniona jakaś pomyłka. A więc... nagła zmiana planów?

To również nigdy wcześniej się nie przydarzyło, ale było całkiem możliwe. Coś, zdecydował Mayhem, musiało się wydarzyć w czasie jego transmigracji. Musiało to być coś straszliwie ważnego, a ludzie z Ośrodka nie mieli możliwości, aby go o tym zawiadomić.

Ale -- o co mogło chodzić?

---

## Johnny Mayhem

---

**P**ierwszy szok spotkał go chwilę później. Podszedł do wiszącego na ścianie lustro i z aprobatą ocenił silne młode ciało, które miało być domem dla jego jestestwa, a potem spojrzął groźnym wzrokiem. W środku jego głowy odezwała się bowiem jakaś myśl.

*A więc to tak wygląda, kiedy dostaje się schizofrenii.*

*A co to u diabła było? Pomyślał Mayhem.*

*Powiedziałem, a więc tak to wygląda, kiedy dostaje się schizofrenii. Najpierw najgorszy w życiu ból głowy, a potem zacząłem myśleć jak dwóch różnych ludzi.*

*Ty nie jesteś martwy?*

*Czy to miał być jakiś żart, moje alter ego? Kiedy pojawią się ludzie w białych kitlach?*

*Dobry Boże, to miało być martwe ciało!*

Po usłyszeniu tego, inne jestestwo, które dzieliło ciało z Mayhemem, prychnęło i zatopiło się w ciszy. Mayhem, ze swojej strony nie mógł wyjść ze zdumienia.

*No, nie musisz się tak od razu obrażać, starał się go udobruchać Mayhem. Nazywam się Johnny Mayhem. Czy to ci coś mówi?*

*Och, pewnie. To znaczy że jestem trupem. Ty zamieszkujez tylko martwe ciała, co nie?*

*Zazwyczaj. Słuchaj... gdzie my jesteśmy?*

*Na Chwale Galaktyki. Lecimy z Ziemi na Marsa i jesteśmy w peryhelium.*

*I macie jakieś kłopoty?*

*Skąd wiesz, że mamy kłopoty?*

*Inaczej by mnie tutaj nie wysłano.*

*Na pokładzie statku jest prezydent. Mamy uderzyć w Słońce. Potem, niechętnie, Larry przeszedł do szczegółów. Kiedy skończył, pomyślał cynicznie. A więc, wszystko co musisz zrobić, to wyjść z kabiny i wrzeszczeć: Bez obaw, jest tu Mayhem i wydaje mi się, że wszystko będzie w porządku.*

Mayhem nic nie odpowiedział. Potrzebował jeszcze trochę czasu, zanim będzie w stanie dostosować się do tej nowej i nieoczekiwanej sytuacji. W pewnym sensie jednak, pomyślał sobie, może to mieć i dobre strony. Jeżeli będzie współdzielił ciało żyjącego człowieka, który był na *Chwale Galaktyki* znany, to nie będzie musiał ujawniać swojej tożsamości jako

## Johnny Mayhem

---

Johnny'ego Mayhema nikomu innemu, poza swoim gospodarzem...

---

- **M**ówię wam - zawołał technik pierwszej klasy Ackerman Boone, - że urządzenia chłodzące siadły na chwilę. Nie możecie jeszcze tego poczuć, ale musicie o tym wiedzieć. Chłodziarki pracują pełną mocą, a temperatura podniosła się o kilka stopni. Albo na chwilę siadły, albo jesteśmy za blisko Słońca, mówię wam!

Ackerman Boone był wielkim chłopem, weteranem kosmicznych szlaków, o masywnym, bardzo silnym ciele i łapskach jak u orangutana. W normalnych okolicznościach, był bardzo dobrym marynarzem, i doskonałym nabytkiem dla każdej załogi, nosił jednak w sobie nadmierną urazę do korpusu oficerskiego i mógł trochę przesadzać, aby wyglądali oni źle w oczach innych znajdujących się na statku ludzi. W zawieszonych hamakami kwaterach załogi Chwały Galaktyki, zebrał się spory tłum, słuchający jak Boone kontynuuje swoim niskim, huczącym głosem.

- No to spytałem dowódcę wachty, tak właśnie zrobiłem. Natychmiast zaczął zezować oczyma na boki, tak jak to oni zawsze robią. Wiecie przecież. Nie chciał nic mówić, ale jakem Ackerman Boone, jestem pewien, że coś jest nie tak.

- Jak myślisz, co to może być, Acky? - spytał go jeden z młodszych mężczyzn.

- No cóż, powiem wam tak. Wiem, co to nie jest. Sprawdziłem dokładnie chłodziarki trzy razy, rozumiecie, i nie znalazłem niczego. Chłodziarki są w tip top porządku, a jeżeli ja wam tak mówię, to tak jest. A więc, jeżeli chłodziarki są w porządku, to może to być tylko jedna rzecz: za bardzo zbliżamy się do Słońca! - Boone zacisnął mocno usta i stał nieruchomo, z muskularnymi rękoma skrzyżowanymi na swojej beczkowatej piersi.

---

**M**łody technik trzeciej klasy, stwierdził natarczywym głosem:

## Johnny Mayhem

---

- Chciałeś powiedzieć, że według ciebie nurkujemy w stronę Słońca, Acky?

- No cóż, jak na razie, jeszcze tego nie powiedziałem. Czy nie tak, chłopcze? Ale *jesteśmy* za blisko, a skoro jesteśmy za blisko, to musi być jakiś powód do tego. Jeżeli pozostaniemy za blisko dłużej, to O.K. Wtedy powiem, że nurkujemy w stronę Słońca. W tej chwili, nie wiem.

Potem wszyscy zaczęli wypytywać Ackermana Boone, który był ich nieoficjalnym przywódcą, co ma zamiar z tym zrobić. Zaczął drapać się swoimi wielkimi paluchami, po grubej szczecinie kilkudniowej brody na szczęce, i przez chwilę słychać było tylko odgłosy jego sapania. Potem oznajmił:

- Nic, dopóki nie dowiemy się tego z pewnością. Ale mam takie przeczucie, że nasi oficerowie próbują mydlić oczy tym wszystkim ważnym politykom, których mamy na pokładzie. Jeżeli o mnie chodzi, ludzie, to jest w porządku. Jeżeli chcą tak robić, to pewnie mają swoje powody. Ale powiem wam tak: nie pozwolę, żeby mydlili oczy Acky Boone'owi, i to jest fakt.

Dokładnie w tym momencie zaskrzeczała szczekaczka.

- Uwaga załoga! Uwaga załoga! Technik/1 Ackerman Boone do biura pierwszego oficera. Technik/1 Ackerman Boone do biura pierwszego oficera.

- Rozumiecie? - powiedział Boone, ponuro się uśmiechając. Jak na razie nikt nie rozumiał. Z twarzą ciągle wykrzywioną w ponurym uśmiechu, Ackerman Boone ruszył na górny pokład.

---

- **I** na tym właśnie, panie prezydencie - poważnie oznajmił wiceadmirał T. Shawnley Stapleton, - polega problem. Przyszlibyśmy do pana znacznie wcześniej, sir, ale szczerze mówiąc...

- Wiem, panie admirale - cicho odparł prezydent. - W żaden sposób nie byłbym w stanie wam pomóc. Poinformowanie mnie nie miało żadnego sensu.

- Mamy pewną szansę, sir, i to jest jedyne wyjście. Tego nie da się do końca przewidzieć i prawdopodobnie wytrzepie

## Johnny Mayhem

---

wszystkie bebechy z *Chwały Galaktyki*, ale być może dzięki temu uratujemy nasze życie. Jeżeli nagle wrzucimy statek do podprzestrzeni, może uda nam się przejść przez miejsce w którym znajduje się Słońce i...

- Nie jestem naukowcem, panie admirale, ale czy nie wywoła to ogromnych przeciążeń działających nie tylko na statek, ale również na wszystkich z nas, którzy jesteśmy na jego pokładzie?

- Wywoła, sir. Nie mam zamiaru niczego przed panem ukrywać, oczywiście. Zostaniemy poddani przeciążeniu dwudziestu kilku g, przez okres kilku sekund. Tutaj, na pokładzie *Chwały* nie mamy odpowiedniego wyposażenia antypreciążeniowego. To podobna sytuacja, sir, jak za dawnych czasów, z lotami samolotowymi. Kiedy tylko samoloty osiągnęły rozsądny poziom bezpieczeństwa, podczas lotów pasażerskich przestano myśleć o zabieraniu spadochronów. W wyniku tego, w okresie ponad pięćdziesięciu lat, zginęły tysiące ludzi. Wszyscy będziemy potłuczeni i poobijani, sir. Wiele złamań kości. Może być kilka ofiar śmiertelnych. Ale nie widzę innego wyjścia z tej sytuacji, sir.

- A więc w ogóle nie było potrzeby, aby uzależniać to od mojej decyzji, zapewniam pana, admirale Stapleton. Proszę robić wszystko, co wydaje się panu najlepszym rozwiązaniem, sir.

Admirał poważnie skinął głową.

- Dziękuję panu, panie prezydencie. Muszę jednak powiedzieć, że będziemy do ostatniej chwili czekać na cud.

- Niestety, nie nadążam za tokiem pańskich myśli.

- No cóż, nie oczekuję cudu, ale takie nagłe przejście do podprzestrzeni, nieuchronnie obarczone jest dużym czynnikiem ryzyka. Dlatego będziemy czekali z tym, aż do ostatniej możliwej chwili. Muszę pana ostrzec, że spowoduje to wzrost temperatury do nieprzyjemnego poziomu, ale dopóki napęd podprzestrzenny jest w stanie działać...

- Już rozumiem o co panu chodzi, panie admirale. Ma pan wolną rękę, jeszcze raz pozwolę sobie to powtórzyć. Nie będę się wtrącał w żaden sposób, i mam najwyższe zaufanie do pańskich umiejętności. - Prezydent otarł czoło już wilgotną

## Johnny Mayhem

---

chusteczką. Było coraz goręcej, jeżeli już o tym pomyśleć. Nieprzyjemnie gorąco.

Tak jakby na pokładzie Chwały Galaktyki, każdy miał powoli zacząć piec się żywcem...

---

**A**ckerman Boone wszedł do kwater załogi, mając na ustach nadal ten sam uśmiech co przedtem. Początkowo nic nie mówił, ale jego milczenie zaczęło przyciągać ludzi, jak magnes przyciąga opiłki żelaza. Kiedy już wszyscy skupili się wokół niego, oznajmił:

– Pierwszy nie tylko przeżuł moje uszy – zahuczał. – Niemal napluł mi nimi w twarz! Miałem rację, ludzie. Przyznał się do tego, kiedy zorientował się, że nie uda mu się niczego ukryć przed Ackermanem Boone. Słuchajcie ludzie, lecimy kursem kolizyjnym prosto w Słońce!

Jego słowa przywitało zszokowane milczenie, a Ackerman Boone, instynktowny urodzony mówca, zrobił dramatyczną przerwę, aby pozwolić każdemu ze słuchaczy na przeżycie kilku chwil piekła zgrozy, we własnych myślach. Potem przemawiał dalej:

– Admirał wymyślił, że mamy jedyną szansę na wyjście z tego z życiem, ludzie. Wymyślił...

– O co chodzi, Acky?

– Co on chce zrobić?

– Jak admirał ma zamiar nas z tego wydostać?

Ackerman Boone splunął na wypolerowaną, lśniąca czystością podłogę w kwaterach załogi.

– On nigdy nie wyciągnie nas z tego żywcem, muszę wam powiedzieć. Chce przejść do podprzestrzeni w ostatniej możliwej chwili. Nagle. Od tak... – i tutaj Ackerman Boone strzelił palcami.

– Na statku będzie kupa połamanych kości – ktoś zaprotestował. – Nie możemy zrobić czegoś takiego.

– On nas wszystkich pozabija! – histerycznie krzyknął młody T/3.

– Nie! Jeśli tylko ja będę miał coś tutaj do powiedzenia, to tego nie zrobi! – zawołał Ackerman Boone. – Posłuchajcie ludzie. To nie jest kwestia dyscypliny. To jest kwestia życia

lub śmierci. I mówię wam, że to coś dużo bardziej istotnego, niż tylko posłusznie wykonywać swoją robotę, jak każe regulamin, dyscyplina, czy cokolwiek innego w tym stylu. Mamy szansę, to prawda: ale nie taką, o jakiej myśli admirał. Powinniśmy opuścić *Chwałę*, i niech sobie leci dalej prosto w Słońce. My powinniśmy wynieść się stąd w szalupach ratunkowych -- każda żywa istota na pokładzie tego statku, do ostatniego człowieka.

- Ale czy szalupy będą miały dostatecznie dużą moc, aby wyrwać się z przyciągania grawitacyjnego Słońca? - ktoś zapytał.

Ackerman Boone wzruszył ramionami.

- Nie patrzcie na mnie - kpiąco oznajmił. - Ja jestem tylko zwykłym marynarzem, a zwykłych marynarzy nie uczy się dostatecznie dużo matematyki, aby mogli odpowiedzieć na takie pytania. Ale na podstawie moich odcisków, jakich nabawiłem się w tej robocie, powiedziałbym że tak. Tak, możemy się stąd wydostać w ten sposób -- pod warunkiem, że będziemy działać szybko. Ponieważ każda minuta, jaką tracimy, to minuta która zbliża nas do Słońca, i powoduje, że trudniej będzie uciec w szalupach. Ludzie, jeżeli mamy działać, to musimy działać szybko.

- Mówisz o buncie, Boone - stwierdził stary, posiwiasty weteran kosmosu. - Mnie możesz w to nie wliczać.

- O co chodzi, McCormick? Cykor?

- Nie jestem tchórzem. Mówię natomiast, że zachowanie dyscypliny w obliczu rzeczywistego niebezpieczeństwa, wymaga prawdziwych jaj. Mówię, że to *ty tchórzysz*, Boone.

- Lepiej żebyś był gotów poprzeć to swoimi pięściami, McCormick - dziko zawołał Boone.

- Jestem gotów w każdej chwili, kiedy tylko będziesz chciał, ty tchórzliwy buntowniczy bękaracie!

---

**A**ckerman Boone rzucił się na mniejszego i starszego człowieka, który stał niewzruszenie na swoim miejscu, chociaż prawdopodobnie zdawał sobie sprawę, że dostanie niezłe baty. Ale czterech czy pięciu marynarzy weszło



## Johnny Mayhem

---

pomiędzy nich, rozdzielając ich i odciągając, a jeden z nich powiedział:

– Popatrz kto to mówi, Boone. Powiedziałeś nam, że czas jest cenny, a pierwsze co chcesz zrobić, to wszcząć bójkę. Każda minuta...

– Każda *sekunda* – ponuro odparł Boone, – przybliży nas o ponad sto mil do Słońca.

– Co możemy zrobić, Acky?

Zamiast odpowiedzi, Ackerman Boone dramatycznym gestem otarł pot z twarzy. Do tej pory wszystkim ludziom zrobiło się bardzo gorąco. Oczywiście było, że temperatura na *Chwale Galaktyki*, wzrosła już jakieś piętnaście czy też dwadzieścia stopni, pomimo tego że urządzenia chłodzące pracowały z pełną mocą. Nawet grodzie i metalowa podłoga kwater załogi, stały się nieprzyjemnie ciepłe w dotyku. Powietrze zrobiło się gorące i nagle stało się bardzo suche.

– Powiem wam, co powinniśmy zrobić – w końcu oznajmił Ackerman Boone. – Admirał Stapleton, czy nie admirał Stapleton, prezydent Federacji Galaktycznej, czy nie prezydent Federacji Galaktycznej, powinniśmy przejąć ten statek i załadować ludzi do szalup ratunkowych, dla dobra wszystkich. Jeżeli oni nie chcą uratować życia swojego i naszego... to my uratujmy nasze życie i ich!

Słowa Boone'a przywitał ryk aprobaty, ale marynarz McCormick i paru innych weteranów stanęło na boku, nie biorąc udziału w głośnej wymianie zdań, jaka nastąpiła potem. Tak właściwie, to gwałtowne słowa Boone'a -- które zaryzykował po pierwszym wybuchu entuzjazmu, w odpowiedzi na jego plan -- spowodowały, że zaczął tracić popleczników. Jeden po drugim, ludzie przesuwali się w stronę milczącej grupy McCormicka, aż w końcu Boone niemal stracił całe swoje grono słuchaczy.

Akurat wtedy do kwater załogi wpadł T/2 i krzyknął:

– Hej, czy jest tu gdzieś Boone? Czy ktoś widział Boone'a?

To wywołało wybuch powszechnego śmiechu. W istniejących okolicznościach, pytanie to nie było pozbawione aspektów humorystycznych.

– O co chodzi? – zaczął dopytywać się Boone.

## Johnny Mayhem

---

- Chłodziarki, Boone! Gonią już resztkami sił. Przeciążają się i przepalają. Za pół godziny ten statek zamieni się w piekarnik, tak gorący, że nas wszystkich pozabija!

- Słyszycie, ludzie? Pół godziny! - zawołał Ackerman. - Albo przejmujemy statek i załadujemy ludzi do szalup teraz, albo już tego nie zrobimy w ogóle.

Ryk towarzyszący jego słowom, miał zdecydowanie charakter popierający.

---

- **O**to są obliczenia - powiedział admirał Stapleton. - Jak pan widzi, panie prezydencie, jeżeli wsadzimy ludzi do szalup ratunkowych, to nie mamy najmniejszej szansy. Zginęlibyśmy z taką samą pewnością, jak gdybyśmy pozostali na *Chwale Galaktyki*, w normalnej przestrzeni.

- Panie admirale, muszę pozostawić to panu. Nie wiem, jak pan jest w stanie myśleć... w tym upale.

- Muszę, sir. Inaczej wszyscy zginiemy.

- Temperatura powietrza...

- Wynosi sto trzydzieści stopni i ciągle rośnie. Rozdaliśmy ludziom tabletki solne, sir, ale to jest jedynie kwestia czasu, zanim wszyscy nie zwalimy się z nóg. Jeżeli jest pan pewien, sir, że chce pan dać nam zgodę...

- Admirale Stapleton, to pan dowodzi tym statkiem, a nie ja.

- A więc, bardzo dobrze, sir. Wysłałem mojego oficera podprzestrzennego, porucznika Ormundy, żeby włączył napęd podprzestrzenny. Powinniśmy wiedzieć już za kilka chwil...

- Żadnych upręży antywstrząsowych, czy czegoś takiego?

- Bardzo mi przykro, sir.

- To nie pańska wina, panie admirale. Po prostu wskazywałem na fakt.

Szczekaczka ryknęła ogłuszająco:

- Słuchajcie mnie wszyscy! Słuchajcie mnie wszyscy! T/1 Ackerman Boone do admirała Stapletona! Czy pan mnie słyszy, admirale?

## Johnny Mayhem

---

Wynędniała, nosząca ślady walki z gorącym twarzą admirała Stapletona, przybrała wyraz zdumienia, kiedy słuchał dalszego ciągu komunikatu. Akerman oznajmił:

– Mamy porucznika Ormundy’ego, panie admirale. Musi pan zrozumieć, że nie pozwolimy mu na zabicie nas wszystkich, poprzez przerwienie nas do podprzestrzeni w ciągu kilku minut, kiedy powinno to zająć kilka godzin. Mamy Ormundy’ego i zajęliśmy pomieszczenie sterowania napędem podprzestrzennym. Kontyngent naszych ludzi przygotowuje do użytku szalupy ratunkowe. Mamy zamiar opuścić statek, panie admirale, i zabrać wszystkich obecnych na pokładzie, włączając w to pana i polityków. Nawet jeśli będziemy musieli zaciągnąć was na pokład szalup, pod lufami N-karabinów.

Twarz admirała Stapletona pokryła się bladością.

– Dajcie mi radio! – Ryknął na całe gardło. – Chcę odpowiedzieć temu człowiekowi, i zobaczymy czy dokładnie rozumie co oznacza bunt!

Kiedy Ackerman Boone przemawiał przez szczekaczki, temperatura na pokładzie *Chwały Galaktyki*, wzrosła do 145° Fahrenheita.

---

– **P**iętnaście minut – powiedział Larry Grange. – Za piętnaście minut gorąco spowoduje, że wszyscy stracimy przytomność. – Tyle, że nie mówił tego sam Larry. To był jednocześnie Larry i Johnny Mayhem. W zaskakująco krótkim czasie, młody agent Secret Service zaakceptował tę podwójną obecność w swoim umyśle. Była ona faktem: albo była to podwójna obecność, albo szaleństwo, a jeżeli głos który odzywał się w jego głowie, powiedział że nazywa się Johnny Mayhem, to był to Johnny Mayhem. Poza tym, Larry czuł jasność myśli, jaką odczuwał po raz pierwszy w życiu, pomimo strasznego, wysysającego siły witalne gorąca. Wyglądało to tak, jakby nagle wydorósł -- słowo wydorósł przyszło mu na myśl instynktownie -- na przestrzeni kilku minut.

– Co możemy zrobić? – spytała Sheila. – Załoga w pełni kontroluje statek.

## Johnny Mayhem

---

- Szef Secret Service mówi, że każdy z nas ma działać na własną rękę. Nie ma czasu na skoordynowane planowanie, ale w jakiś sposób, w ciągu naprawdę paru minut, musimy dostać się do pomieszczenia sterowania napędem podprzestrzennym i wyrzucić statek z normalnej przestrzeni, albo się kompletnie usmażymy.

- Paru waszych ludzi już tam jest, co nie?

- W zejściówce koło tej sterowni, taaa. Ale nigdy nie zdołają się przebić do środka na czas. Nie przy pomocy blasterów, ani nawet N-karabinów. Nie w ciągu dziesięciu minut, nie ma mowy.

- Larry, nagle... ja... zaczęłam się bać. Wszyscy tutaj zginiemy, Larry. Ja nie chcę umierać... Larry, co masz zamiar zrobić?

Szli pustym bocznym korytarzem, który prowadził ich do jednego z tylnych luków ratunkowych *Chwały Galaktyki*. Prześiąknięte potem ubranie lepiło im się do ciała, a każdy oddech był męczarnią, rozpalonym gorącem.

- Wychodzę na zewnątrz – spokojnie oznajmił Larry.

- Na zewnątrz? Co chciałeś przez to powiedzieć?

- Skafander, a potem na zewnątrz. W pomieszczeniu sterowania napędem podprzestrzennym jest właz. Jeżeli ich uwaga skierowana będzie na drzwi prowadzące z korytarza, to może uda mi się wejść do środka. To nasza jedyna szansa... nasza i wszystkich pozostałych.

- Ale skafander...

- Wiem... – przerwał jej Larry, zakładając już na siebie pneumatyczny ubiór próżniowy. Tak jakby był Larrym... ale jednocześnie nie był nim. Czuł pewność siebie i zaufanie we własne siły, świadomość że robi to co powinien -- uczucie jakiego Larry Grange nigdy wcześniej jeszcze nie doświadczył w swoim życiu. To było tak, jakby w finalnych chwilach swojego życia, chłopiec stał się mężczyzną. Albo, przyszło mu na myśl zupełnie nagle, jakby Johnny Mayhem, który współdzielił z nim umysł i ciało, w jakiś sposób przekazał mu swoje własne umiejętności i pewność siebie, a nawet to on –  
- Mayhem -- podjął decyzję wyjścia na zewnątrz.

- Wiem – dokończył. – Skafandry kosmiczne nie mają dostatecznie grubej izolacji. Nie mogą być w kosmosie dłużej

## Johnny Mayhem

---

niż około trzy minuty. Trzy minuty, i muszę dostać się do środka. W przeciwnym razie koniec ze mną.

- Ale, Larry...

- Nie rozumiesz tego, Sheila? Jakie to ma znaczenie? Po co mi te dodatkowe pięć czy dziesięć minut, jeżeli wszyscy i tak tutaj zginiemy? Dzięki temu, chociaż jest jakaś szansa.

Pozapinał skafander i uniósł ciężki, podobny do kuli dla rybek hełm, przygotowując się do nałożenia go na głowę.

- Poczekaj - powiedziała Sheila i stanęła na palcach u nóg, aby przytrzymać go rękoma za twarz i pocałować w usta. - Ty... ty się zmieniłeś - wyjaśniła. - Jesteś tym samym, bardzo zabawnym facetem, ale teraz jesteś... także mężczyzną. To za to, co mogłoby między nami być, Larry - dodała i ponownie go pocałowała. - A to dlatego, że cię kocham.

Zanim opuścił hełm na miejsce, Larry odparł:

- To nie było za to, co mogłoby być, Sheila. To za to, co będzie.

Hełm zamknął się z trzaskiem, na grzbiecie ramion skafandra. Chwilę później, wślizgnął się do śluzy powietrznej.

---

- **M**ówię, że jesteś kretynek, Boone! - jeden z członków załogi warknął na przywódcę buntu. - Mówię, że teraz straciliśmy naszą ostatnią szansę. Już za późno na załadowanie się do szalup ratunkowych, nawet gdybyśmy chcieli to zrobić. Jedyne co nam teraz pozostało, to... zginąć!

W sterowni napędu podprzestrzennego znajdowało się jeszcze dziesięciu przytomnych ludzi. Pozostali padli już wcześniej, powaleni gorącem, i leżeli porzrzućani na podłodze, zupełnie mokrzy i dziwnie zwiotczali, jakby z rozciągniętych ciał wyciśnięta została cała wilgoć, poza pokrywającą ich skórę warstwą potu.

- No dobrze - przyznał Ackerman Boone. - No dobrze, tak więc nikt z nas nie wie, jak działa mechanizm napędu podprzestrzennego. Myślisz, że to by coś nam pomogło? Mówiłem ci, że to by nas wszystkich pozabijało.

- To była jakaś szansa, Boone. Nasza ostatnia szansa, a ty...

## Johnny Mayhem

---

– Po prostu zamknij się! – warknął Boone. – Wiem, co sobie myślisz. Myślisz, że powinniśmy pozwolić tym wszystkim oficerom i agentom Secret Service, dostać się do napędu podprzestrzennego. Ale człowieku, użyj trochę głowy! Prawdopodobnie wszystkich nas tutaj pozabijają, a nawet jeżeli nie, to...

– A więc przyznajesz, że to jest jaka szansa!

– Taaa. W porządku, to jest jakaś szansa. Ale nawet jeżeli nas wszystkich nie zabiją, jeżeli uratują nas dzięki walnięciu napędem podprzestrzennym, to co wtedy? Wszyscy staniemy przed sądem pod zarzutem buntu. To jest zbrodnia główna, ty głupcze!

– Cóż, to i tak lepsze niż pewna śmierć – odparł mężczyzna i ruszył w stronę drzwi.

– Allister, zaczekaj – zawołał Boone. – Zaczekaj, ostrzegam cię! Każdy człowiek, który spróbuje otworzyć te drzwi...

Z zewnątrz można było dosłyszeć nieustanny huk ognia blasterów, ale odporne na atak drzwi, trzymały się pewnie.

– ...zostanie natychmiast zabity! – dokończył Boone.

Z ponurym uporem Allister podszedł do drzwi i złapał swoimi pokrytymi pęcherzami palcami za mechanizm zamka.

Ackerman Boone strzelił mu w plecy z N-karabinu.

---

**K**iedy Larry pełznął cal po calu po zewnętrznej stronie kadłuba *Chwały Galaktyki*, wydawało mu się, że całe jego ciało zmienia się w jedną masę spękanych pęcherzy. Nie miał pojęcia, jak gorąco było w kosmosie, ale żar promieniował z rozgrzanego kadłuba *Chwały*, parzącymi, duszącymi falami, które przeszywały bez trudu warstwę izolacyjną skafandra. Jeżeli nie uda mu się znaleźć właściwego wjazdu i w ciągu kilku sekund...

---

– **K**toś jeszcze? – wrzasnął Boone. – Ktoś jeszcze chce skończyć jak Allister?

Ale pozostali ludzie, jeden po drugim, padali z gorąca. W końcu pod drzwiami pozostał tylko -- samotny -- Ackerman

---

## Johnny Mayhem

---

Boone, wyzywająco wpatrujący się w rozgrzany metal, tak jakby mógł przez niego widzieć swoich przeciwników. Po drugiej stronie, strzały stały się bardziej sporadyczne, w miarę jak przytomność tracili kolejni oficerowie statku i agenci Secret Service. Umysł Ackermana Boone oszalał na skutek gorąca i strachu, tak więc marynarz nagle poczuł żal, że nie może zobaczyć ludzi znajdujących się po drugiej stronie drzwi, żałował że nie może widzieć, jak umierają...

---

**T**o był ten wąż, albo koniec. Wydawało mu się, że to ten właściwy, ale nie był tego pewien. Przestał już cokolwiek widzieć. Wzrok go zupełnie zawodził. Ból zmienił się teraz w otępiającą pustkę, gdzieś w oddali, stał się zaledwie cieniem samego siebie. Być może Mayhem absorbuje część uczucia bólu, przelewając je na siebie. Może Mayhem przejął ból i gdzieś tam cierpi w głębi znękanego ciała jakie współdzielili, tak by on, Larry mógł nadal myśleć. Może...

Pokryte pęcherzami palce, z trudem ledwie mogły się poruszać wewnątrz izolowanych rękawic, Larry zaczął obmacywać wąż.

---

**A**ckerman Boone gwałtownie odwrócił się do tyłu. Wcześniej skupiał swoją uwagę całkowicie na drzwiach z korytarza, i odgłosy dochodzące spoza pleców -- które co prawda słyszał już od kilku sekund, ale nie zwrócił na nie uwagi, nie uważając ich za niebezpieczne -- dopiero teraz skłoniły go do odwrócenia się.

Jakiś człowiek zrywał z siebie skafander kosmiczny. Dosłownie oddzierał kolejne jego paski od swojego czerwonego jak u raka ciała. Zamrugał na Boone'a, nie widząc go. Jaskrawe światło Słońca oślepiło go, pomyślał Boone, a potem uświadomił sobie, że również i jego wzrok zaczyna zawodzić.

- Zabiję cię, jeżeli choćby zbliżysz się do napędu podprzestrzennego! - wrzasnął Boone.

## Johnny Mayhem

---

– To jedyna szansa dla nas wszystkich, i dobrze o tym wiesz, Boone – spokojnie odparł człowiek. – Nie próbuj więc mnie zatrzymywać.

Boone uniósł swój N-karabin i mrużąc oczy próbował rozpędzić mgłę gorąca i oślepiająco jasnego światła. Tracił wzrok! Tracił wzrok...

W dzikim szale zaczął strzelać z N-karabinu. Gwałtownie, we wszystkie strony, zalewając pomieszczenie deszczem ognia...

Larry rzucił się na ślepo przed siebie. Dwukrotnie potknął się o nieprzytomnych ludzi, ale podniósł się i szedł dalej. Nie widział samego Boone'a, ale mógł dostrzec -- niewyraźnie -- ogień z lufy jego N-karabinu. Zataczając się, przedarł się przez pomieszczenie w stronę błysków wystrzałów, i w końcu objął strzelającego ramionami...

Zorientował się, że walczy o swoje życie. Boone teraz już kompletnie oszalał -- z powodu gorąca oraz ciężaru osobistej porażki. Gryzł, kopał nogami i próbował rozszarpać Larry'ego, silnymi podobnymi do szponów palcami. Zaciśnął mocno pięści i wymachiwał rękoma, młóćąc nimi w powietrzu, jak wiatrak, jednak na tyle często trafiając w cel, aby zmusić poobijanego Larry do schylenia się niżej, do podłogi.

Z ponurą determinacją Larry chwycił się przeciwnika, podciągnął się w górę po ciele Boone'a, oparł głowę o jego pierś, i sam zaczął uderzać pięściami, niczego nie czując, nie wiedząc nawet czy jego ciosy trafiają, czy nie, nie słysząc nic, poza odległym rykiem w uszach, rykiem który mówił mu, że traci przytomność, i musi zacząć działać -- natychmiast -- jeżeli miał zamiar w ogóle kogokolwiek uratować...

Stał i ze wszystkich sił walił pięściami.

Uderzył po raz kolejny... w powietrze

Nawet nie zdawał sobie sprawy, że Boone upadł nieprzytomny, dopóki nie nadepnął nogą na bezwładnie leżące ciało mężczyzny. Potem, szybko, pośpieszył w kierunku pulpitu sterującego, biegnąc na ślepo w jego stronę, albo raczej, w stronę której myślał, że powinien on się znajdować. Potknął się o coś i przewrócił jak długi na gorącą, parzącą wręcz do bólu, podłogę. Jakoś jednak udało mu się pozbierać i popęztał do przodu, a następnie podciągnął się po czymś do góry...



## Johnny Mayhem

---

Nie miał czucia w palcach. Nie wiedział nawet, czy rzeczywiście dotarł do pulpitu sterującego, ale w tej chwili nagle sobie uświadomił, że od kilku minut nie czuł w myślach obecności Mayhema. Czy może Mayhem oszczędzał swoje siły na ostateczną próbę, pozwalając Larry'emu zająć się poprzednimi męczarniami, tak by teraz...

Tak, przypomniał sobie mgliście Larry. To właśnie o to musiało chodzić. Ponieważ to Mayhem, a nie on, wiedział jak ustawić odpowiednie przełączniki i przyciski. Teraz jego umysł zapadł w mgłę na w pół nieświadomości, ale jednak jakoś zarejestrował, że jego własne pokryte pęcherzami palce, przez pewien czas pewnie biegały po pulpicie sterującym, zarejestrował następnie głębokie wewnętrzne westchnienie -- czy ulgi, czy tryumfu, tego nie wiedział -- a na koniec zarejestrował gwałtowny, straszliwy, skręcający ból, który zdawał się odzierać pasy skóry z jego ciała, jego ciało z kości, świadomość z ciała...

---

- **C**zy widzi pan cokolwiek? - spytał go lekarz.

- Tak - odparł Larry, kiedy zdjęto mu bandaż z oczu. W pokoju, razem z lekarzem, znajdowały się trzy osoby -- admirał Stapleton, prezydent... i Sheila. Jakoś Sheila wydawała się mu z nich wszystkich najważniejsza.

- Jesteśmy teraz w podprzestrzeni, dzięki panu - poinformował go admirał. - Wszyscy wskutek transferu doznaliśmy lekkich obrażeń, ale były tylko dwie ofiary śmiertelne, jak zadowoleniem mogę powiedzieć. A statek, naturalnie, jest zupełnie bezpieczny.

- To co mnie intryguje, Grange - stwierdził prezydent, - to jak ci się udało ustawić odpowiednie ustawienia na pulpicie sterującym. Skąd u diabła tyle wiesz o napędzie podprzestrzennym, chłopcze?

- Te dwie ofiary śmiertelne - dodał admirał, - to był Ackerman Boone i ten człowiek, którego zabił. - Potem admirał uśmiechnął się szeroko. - Czy nie widzi pan, panie prezydencie, że on nie zwraca na nas najmniejszej uwagi? Wydaje mi się, że w tej chwili, nasz bohater ostatnich godzin, wpatruje się wyłącznie w obecną tutaj pannę Kelly.

## Johnny Mayhem

---

- Proszę panów o wybaczenie, panowie, ale tak - ze szczęściem wyznał Larry.

Kiwając głowami i uśmiechając się, prezydent Federacji Galaktycznej i admirał Stapleton wyszli z pomieszczenia ambulatorium -- razem z lekarzem.

- No cóż, mój bohaterze - powiedziała Sheila i uśmiechnęła się.

Larry zdał sobie sprawę -- zupełnie nagle -- że, wewnątrz swojego umysłu, był zupełnie sam. Mayhem wykonał zadanie i zniknął bez śladu.

- Wiesz - mówiła dalej Sheila, - to wygląda jakbyś... no dobrze, mam nadzieję, że nie poczujesz do mnie urazy... jakbyś dzisiejszej nocy wydorósł.

Zanim ją pocałował, Larry odparł:

- Być może masz rację. Może pewnego dnia, opowiem ci o tym. Ale nigdy w to nie uwierzysz.

KONIEC

C. H. Thames  
(Stephen Marlowe – Milton Lesser<sup>1</sup>)

# Zamyślić się na śmierć

(Think Yourself to Death)

Marzec 1957

---

<sup>1</sup> Autorem opowiadania jest Stephen Marlowe, autor który w światku SF najbardziej znany jest pod jednym ze swoich pseudonimów literackich Milton Lesser.

*Mayhem, człowiek o wielu ciałach, otrzymywał od czasu do czasu różnego rodzaju niesamowite polecenia, ale ocalenie Chwały Galaktyki nie było zadaniem trudnym... było zupełną niemożliwością!*

**K**iedy Johnny Mayhem dotarł do Wężownika, miał na sobie ciało starszego dżentelmena z Syriusza.

Trudno było znaleźć coś mniej odpowiedniego. Syrianin nosił pinc-nez, dostojną, dwuczęściową bluzę w kolorze węgla drzewnego, stateczne dwubarwne buty i czarną krawatę.

Włóczędzy kręcący się po ulicach w pobliżu budynku Obserwatora Galaktycznego, gapili się na niego, wytykali go palcami i wyśmiewali się z niego. Wykorzystując dostojną maskę martwego Syrianina, którego ciało nosił, tak jak inni ludzie zakładali na siebie ubrania, Johnny Mayhem ignorował ich. Mieli oczywiście pewne podstawy dla takiego zachowania. Na Wężowniku IX było gorąco i wilgotno. Włóczędzy na zakurzonych, brzydko pachnących ulicach, nie mieli na sobie niczego, poza przepaskami biodrowymi.

Mayhem wszedł do wnętrza budynku, które było klimatyzowane. Pewnie była to jedyna klimatyzowana budowla na całej planecie. Mayhem z wdzięcznością otarł swoje syriańskie czoło, osuszając je z potu. O ile mógł to wyliczyć, oczekiwany czas jego życia w tym ciele, obniżył się do trzech dni, typu ziemskiego. Zastanawiał się przez chwilę, dlaczego Liga Galaktyczna przysłała go tutaj, na Wężownika. Wzruszył ramionami, wiedząc, że dowie się tego już niedługo.

Obserwator Galaktyczny na Wężowniku IX, Hindus w średnim wieku, z Bombaju, o nazwisku Kovandaswamy, nosił na swoim pulchnym ciele wyłącznie nieskałanie białą, Inianą przepaskę biodrową. Kiedy Mayhem wszedł do jego biura, na zatroskanej twarzy Obserwatora pojawił się uśmiech ulgi. Obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

## Johnny Mayhem

---

– A więc, to pan jest Mayhem? – spytał po angielsku Kovandaswamy. – Powiedziano mi, że mam pana oczekiwać. Proszę wybaczyć, że tak się panu przypatruję, ale nigdy wcześniej nie stałem jeszcze twarzą w twarz z legendą. Jestem pod wrażeniem.

---

**M**ayhem roześmiał się.

– Przejdzie to panu.

– No cóż, przynajmniej jako dżentelmen z Syriusza, nie jest pan sympatyczny i ujmujący. To bardzo pomaga.

– To nie był mój pomysł. Nigdy o tym nie decyduję.

– Wiem. Wiem o tym, proszę pana. – Kovandaswamy wstał nerwowo spoza biurka i zaczął krążyć po pomieszczeniu. – Mayhem, czy wie pan cokolwiek o Wężowniku IX?

– Nie za wiele. To jeden z Zapomnianych Światów, nieprawdaż?

– Dokładnie, proszę pana. Wężownik IX jest jedną około dwudziestu pozastonecznych planet, skolonizowanych w pierwszym wielkim wylewie kolonizacyjnym z Ziemi.

– Chodzi panu o ciśnienie populacyjne w XXIV wieku?

– Zgadza się. Potem Wężownik IX został, tak samo jak pozostałe Zapomniane Światy, całkowicie zapomniany. Jak pan wie, Mayhem, pierwszy wylew kolonizacyjny, cofnął się jak fala. Szybko dała o sobie znać inercja, i tak zwane Zapomniane Światy na całe pokolenia zostały odizolowane od reszty galaktyki. Dopiero w ostatnich pięćdziesięciu latach ponownie je odnaleźliśmy, jeden po drugim. Wężownik IX jest typowym przykładem, całkowicie odcięty od reszty galaktyki przez chmurę pyłową, która...

– Tak wiem. Przedostałem się przez nią.

– Oryginalnie został skolonizowany przez Hindusów ze wschodnich Indii, na Ziemi. Właśnie dlatego, to mnie Liga Galaktyczna wyznaczyła na Obserwatora. Jestem Hindusem. Tutejsi ludzie... no cóż są przykładem kierunku w jakim mogliby rozwinąć się moi rodacy, gdyby żyli przez setki lat w absolutnej izolacji.

– Na czym wobec tego polega problem?

Kovandaswamy odpowiedział pytaniem na pytanie.

## Johnny Mayhem

---

- Czy jest pan świadom, jaki jest główny cel Ligi Galaktycznej?

- Oczywiście. Doprowadzić do tego, aby żadna z planet w kosmosie, nawet mała i bardzo odległa, nie pozostawała w izolacji. Czy o to panu chodziło?

- Tak - potwierdził Kovandaswamy. - Powód takiego postawienia sprawy, jest oczywisty. W ciągu niemal tysiąca lat, rasa ludzka inwestując w rozwój nauk fizycznych, wyprzedziła dalece pod tym względem, swój rozwój społeczny i etyczny. Przez ten tysiąc lat, ludzkość uzyskała dostęp do mocy, pozwalających na zniszczenie naszej rasy, przez nią samą. W izolacji jest to możliwe. W warunkach swobodnej, wzajemnej wymiany idei, staje się to ekstremalnie mało prawdopodobne. Tak więc, w interesie przetrwania ludzkości, Liga Galaktyczna próbuje udaremnić odrębny rozwój izolowanych społeczności. Jak do tej pory Zapomniane Światy współpracowały z nią. Wyjątkiem jest Wężownik IX.

- I liga chce, abym dowiedział się, dlaczego?

- Dokładnie.

- W jaki sposób działają przeciwko nam...?

Kovandaswamy spocił się, pomimo działającej klimatyzacji oraz tego, że był niemal nagi.

- Ma pan oczywiście prawo do tego, by odrzucić tę misję. Liga uprzedzała mnie o tym.

- Przecież jestem tutaj - odpowiedział prosto Mayhem.

- No dobrze, proszę pana. Chodzi więc chodzi o to, że wcześniej czy później, każdy pozaświatowiec, który zaryzykuje życie między Wężownikami, zabija się.

- Wydaje mi się, że pana nie dosłyszałem. Czy powiedział pan, że zabija się?

- Popełnia samobójstwo, panie Mayhem. Dokładnie tak.

- Ale jak może pan za to winić...

- Panie Mayhem, Wężownicy, tak samo jak ich przodkowie, zamieszkujący niegdyś ziemski subkontynent Indyjski, są mistykami. Trans świętego męża, siedzącego i kontemplującego swój pępek, Duch Świata -- w ich kulturze, te sprawy są najważniejsze. Mayhem, czy widział pan kiedykolwiek w życiu setkę świętych mężów z Indii, pracujących nad czymś wspólnie?

## Johnny Mayhem

---

- Zazwyczaj oni nie pracują wspólnie.

- Dokładnie, proszę pana. Dokładnie. Ale tutaj, na Wężowniku, robią to. I nie tylko jakaś tam setka z nich. Oni wszyscy. Dosłownie, co do jednego. Działając wspólnie, kiedy ich umysły zapadną w trans, zjednoczą się, w poszukiwaniu Ducha Świata, czy czegoś tam innego, mogą robić zdumiewające rzeczy.

- Takie jak, wykorzystanie siły swoich myśli, do zmuszenia pozaświatowców do samobójstwa?

- Tak, proszę pana. Moralnie, nie uznają oni pozaświatowców, jako równych sobie. Liga chce się dowiedzieć, co oni próbują ukryć. To mogłoby być zagrożenie dla pokoju i -- istnienia ludzkości.

- Ma pan dla mnie jakieś ciało? - Johnny gotów był zmierzyć się z problemem.

---

**G**dyby to pytanie zadał ktoś inny, a nie Johnny Mayhem, Kovandaswamy mógłby nie zrozumieć, o co mu chodzi, albo mógłby pomyśleć sobie, że pytający jest niespełna rozumu, ewentualnie obie te rzeczy na raz. Ale on, Johnny Mayhem był, oczywiście, legendarnym Człowiekiem Bez Ciała. Jak wiele powłok cielesnych zamieszkiwał podczas minionych kilku lat? Wzruszył ramionami, nie pamiętał tego. Nie mógł pozostawać w jednym ciele dłużej niż przez miesiąc. Oznaczałoby to ostateczną śmierć jego *elan*, bezcielesnej osobowości. Dotychczas jakoś udawało mu się tego unikać.

Liga Galaktyczna pomogłaby mu, gdyby potrafiła. Każda planeta, posiadająca ludzką populację i posterunek Ligi, nawet najmniejszy, musiała przechowywać w chłodni ciało, czekające na Johnny'ego Mayhema, na wypadek gdyby potrzebne były jego usługi. Nikt jednak nie wiedział dokładnie, w jakich okolicznościach Rada Ligi Galaktycznej, działająca z ośrodka Galaktyki, może wezwać Mayhema. A jedynie bardzo niewielu ludzi, włączając tych w Ośrodku, Przedstawicieli Ligi Galaktycznej na cywilizowanych planetach, oraz Obserwatorów na światach prymitywnych, znało dokładnie mechanizm przybycia Mayhema. Dla pozostałych, była to niesamowita tajemnica.

## Johnny Mayhem

---

Johnny Mayhem, bezcielesna istota. Niemal siedem lat temu, Mayhem -- wtedy jeszcze nazywający się Johnny Marlow -- musiał uciekać z Ziemi, ścigany jako parias i przestępca. Został śmiertelnie ranny na dzikiej planecie, głęboko w Roju Strzelca. Jego życie zostało uratowane -- w pewnym sensie -- przez białą magię tej planety. Po tym wydarzeniu, Mayhem skazany był na teoretyczną nieśmiertelność, jako pozbawiona ciała osobowość, *elan*, która była w stanie zajmować i aktywować nieuszkodzone ciała, zamrożone w poprawny sposób, ...*elan* zmuszona do nieustannej wędrówki, ponieważ nie mogła pozostać w jednym ciele dłużej niż przez miesiąc, nie zabijając jednocześnie i *elan*, i ciała. Mayhem poświęcił swoje dziwne, samotne życie służbie Lidze Galaktycznej, ponieważ normalne życie oraz normalne związki społeczne, były dla niego nieosiągalne...

- A więc, robi to pan? - zapytał go Kovandaswamy, Obserwator na Wężowniku IX. - Nawet pomimo tego, że, jak zapewne zdaje pan sobie sprawę, nie możemy udzielić panu żadnej oficjalnej pomocy, ponieważ Liga Galaktyczna aprobeuje pańską działalność tylko nieoficjalnie i nie może usankcjonować jej urzędowo. Proszę pamiętać, że żaden pozaświatowiec nie może na dłuższy czas pozostawać na zewnątrz tego budynku i poza lądowiskiem kosmicznym, nie ryzykując śmierci...

- Z własnej ręki?

- Tak. Jestem praktycznie więźniem w Kwaterze Głównej Ligi Galaktycznej, tak samo jak moi ludzie. Rozumie pan...

- Co z ciałem?

Kovandaswamy spojrział na niego nerwowo.

- To osoba stąd, panie Mayhem. Rozumie pan, ktoś miejscowy nie powinien być napastowany.

- To ma sens. Co to za jeden?

- W najlepszym stanie, proszę pana. Ciało zdrowe, młode, w wiosnie życia, że tak się wyrażę.

- A więc, co pana tak trapi?

- Nic. Nic, proszę pana.

- Czy pańscy technicy są gotowi?

- Tak, proszę pana. I poprzysięgli zachować tajemnicę.



## Johnny Mayhem

---

Mayhem znalazł niewielką kapsułkę w kieszeni swojego syriańskiego skoczka i wepchnął ją do ust.

– Co... co to jest? – spytał Kovandaswamy.

Mayhem przełknął.

– Kurara – powiedział.

– Kurara! Trucizna!

– Chodzi o paraliż – szybko wyjaśnił Mayhem. – O sparaliżowanie mięśni. Umiera się, ponieważ przestaje się oddychać. Bezbolesne... i...

– Ale...

– Proszę wezwać swoich techników... nowe ciało... gotowe...

Ciężko łapiąc oddech dżentelmen z Syriusza, teraz trudno było mówić o nim, jako o Johnnym Mayhemie, upadł na podłogę.

Drżącą ręką Kovandaswamy nacisnął przycisk na swoim biurku. Kilka chwil później do biura weszło dwóch ubranych na biało techników.

– Projekt M – polecił Kovandaswamy.

Technicy z ponurymi minami, zabrali się do roboty.

---

**M**ayhem obudził się.

Zazwyczaj między planetami podróżowała tylko jego *elan*, *elan* która pozyskiwała wszystkie potrzebne mu informacje w hipnośnie, podczas przygotowywania nowego ciała. Czasami jednak, przylatywał w normalny sposób, podróżując w ciele, któremu ciągle pozostawało parę z jego trzydziestu dni życia. Tak właśnie przyleciał na Wężownika IX, w ciele syriańskiego dżentelmena.

Ciemność. Ciało czuło się młodo i zdrowo. Mayhem zastanawiał się gdzieś w głębi umysłu, w jaki sposób mogło ono umrzeć, a potem stwierdził, że tak naprawdę, to jest kompletnie nieistotne. Przez kolejne trzydzieści dni, ciało znowu będzie żyło, jako Johnny Mayhem.

Pomieszczenie rozjaśniały wpuszczone w mur świetlówki, umieszczone na złączeniu ścian i sufitu. Mayhem na wpół leżał na łóżku. Obok leżały odłożone dla niego przepaska biodrowa i duży szal. Na ścianie po drugiej stronie pokoju

## Johnny Mayhem

---

wisiało zabarwione lustro. Mayhem wstał z łóżka i podszedł do niego.

Jak wygląda jego nowe ciało, to ma znaczenie drugorzędne, powiedział sobie. Młodość, zdrowie, siła -- to było ważne. Czuł je w sobie. Mógł...

Wpatrywał w obraz w lustrze. Jego twarz zaczęła się robić intensywnie czerwona. Wrócił po przepaskę biodrową i szal i założył je na siebie. Przeklinając, poszedł szukać Kovandaswamy'ego.

- Czy to niby ma być jakiś dowcip? - dopytywał się go Mayhem.

- Nigdy pan nie pytał jaka jest... - zaczął mówić Kovandaswamy.

- W jaki niby sposób, mogłem nawet pomyśleć o... czymś takim.

- To jest młode, zdrowe ciało. To jest również ciało, które zostało nam przekazane, kiedy, kiedy Liga Galaktyczna pojawiła się tu po raz pierwszy. To jedyne, jakie zostało nam przekazane.

- A więc, do wyboru jest ono albo ono, co?

- Obawiam się, że tak, panie Mayhem.

- Już dobrze, dobrze. Zdaje się, że nie powinienem się uskarżać. Pewnie jest ono w stanie prześcignąć pod względem zdolności fizycznych, możliwości walki i zdolności umysłowych, trapionego niestrawnością starszego pana z Syriusza, a na Syriuszu III wszystko przecież potoczyło się w dobrym kierunku. Ale prawdopodobnie większość swojego czasu będę musiał poświęcić na przyzwyczajanie się do niego, panie Kovandaswamy. A mam przecież przeprowadzić dochodzenie.

- Przynajmniej jako ktoś z Wężownika, nie będzie budził pan podejrzeń.

Mayhem skinął głową, powoli i z niechęcią. Szkoda było dalej marnować czas na dyskusje. Uścisnęli sobie dłonie z Kovandaswamym i, ubrany w przepaskę biodrową i szal, opuścił budynek Ligi Galaktycznej.

Oczywiście, z kompletnie nową tożsamością.

Mayhem przewędrował półtorej mili przez gorący, suchy teren. Budynek Ligi był odizolowany, tak jakby kontakt z jego mieszkańcami mógł skazić rodzimych Wężowników. Idąc

## Johnny Mayhem

---

zakurzoną drogą, Mayhem minął guru, jak określano świętych mężów, początkowo w Indiach, a teraz tutaj, na Wężowniku IX. Guru, pogrążony w głębokiej kontemplacji czubka swojego nosa, siedział ze skrzyżowanymi nogami, podszwami nóg, skierowanymi do góry i na wpół przymkniętymi oczyma. Guru pozostawał w ten sposób, bez najmniejszego ruchu, dopóki Mayhem nie znalazł się poza zasięgiem wzroku. Potem guru zaczął zachowywać się, w wysoce niegurowaty sposób.

Guru wstał, całkiem zwinnie, pomimo skrzypiących stawów, suchej i popękanej skóry. Trzy kroki doprowadziły go do drzewa o częściowo wydrążonym pniu. Wyciągnął z niego nadajnik radiowy i zaczął z kimś rozmawiać.

---

**W** ciągu dwudziestu pokoleń, niewielka początkowo populacja Wężownika IX, złożona w całości z kolonistów z Indii, na Ziemi, przyrastała w postępie geometrycznym. Obecnie, skolonizowana planeta była równie przepełniona, jak rojący się od ludzi subkontynent, z którego koloniści wyruszyli w poszukiwaniu nowego domu. W wyniku tego, bezrobocie miało charakter chroniczny, niezadowolenie szerzyło się masowo, a chwile spokoju wewnętrznego, które mógł przynieść mistycyzm, były powszechnie poszukiwane. Nie powstrzymywało to jednak nie-mistyków, których również było wielu, od poszukiwania pracy, pozwalającej zarobić pieniądze, dzięki którym można było napełnić pusty żołądek...

Następnego poranka, po tym jak Mayhem w swoim nowym ciele opuścił budynek Ligi, przed biurem zatrudnienia Denebian Exports, zebrała się długa kolejka ludzi. Denebian Exports były największą firmą zewnętrzną, działającą obecnie na Wężowniku. Rozwiązała ona problem samobójstw pozaświatowców, po prostu, nie zatrudniając nikogo, poza miejscowymi. Pomimo tego ludzi stojących w kolejce przywitały wrzaski i gwizdy. Inni bezrobotni Wężownicy, ewidentnie preferujący niemal-głód od pracy dla pozaświatowców, zagrażali podgrzaniem sytuacji do niebezpiecznego poziomu.

## Johnny Mayhem

---

Pandit Gandhi Menon, szczupły, przystojny Wężownik, w



wieku może trzydziestu lat, żałował, że nie jest w stanie, w

żaden sposób zamknąć uszu na te złorzeczenia. Potrzebował pracy. Jego ojciec i matka chorowali, dziecko głodowało, a żona już umarła. Oczywiście guru oferowali swoje własne, unikalne rozwiązanie. Ciało jest niczym, jak mówili. To umysł jest wszystkim. Ale w ten sposób, guru mówili już od czterech tysięcy lat, zarówno na Ziemi, jak i na Wężowniku. Olbrzymia większość ludzi, włączając w to Pandita Gandhi Menona, preferowała jednak pożywienie dla ciała, a nie pożywienie dla mistycznych rozmyślań. Pomimo tego, zebrany tłum był niebezpieczny, grożąc rozpędzeniem kolejki poszukujących pracy, jeżeli Denebian Exports wkrótce nie otworzy swoich podwoi...

Jakiś rozkudłany niewielki człowieczek, jeszcze nie stary, ale szczyjący się skołtunioną długą brodą i niedomytym ciałem, sprawiającym wrażenie żylastej siły, oraz dzikimi oczyma, gwałtownie rzucił się na młodą kobietę, stojącą w kolejce przed Panditem.

Krzyczał:

- Nie, nasze kobiety, też? - Mały człowieczek złapał dziewczynę, próbując wyciągnąć ją z kolejki. - Wystarczającym złem jest, że robią to nasi mężczyźni, ale nasze kobiety, nie będą!

---

**P**andit złapał żylastą rękę fanatyka i wykręcił ją za chudymi plecami człowieczka, w bolesnej dźwigni.

- Zostaw ją w spokoju - powiedział do niego. - Jeżeli jeszcze raz spróbujesz czegoś podobnego, złamię ci rękę.

Fanatyk popatrzył na Pandita z nienawiścią w oczach, ale cofnął się i stanął z boku, obrzucając ich obelgami.

Dziewczyna, wyglądająca na jakieś dwadzieścia pięć lat, miała na ramieniu wyraźny ślad. Nosiła przepaskę biodrową i szal, zwykły strój. Była, jak po raz pierwszy zauważył Pandit, całkiem ładna.

- Dziękuję - powiedziała. - Ja... wcale nie jestem pewna, czy chcę pracować dla pozaświatowców. Ale potrzebuję pieniędzy.

## Johnny Mayhem

---

– Tak samo, jak nie jesteśmy pewni, my wszyscy tutaj – odpowiedział jej Pandit. – Ale jeszcze się nie zatrudniliśmy. Nazywam się Pandit Gandhi Menon.

– Sria Krishna – przedstawiła się dziewczyna, uśmiechając się do niego. – Co to za praca?

– Nie wiesz, Sria Krishna?

Dziewczyna pokręciła przecząco głową, Pandit wyjaśnił:

– Prawdę mówiąc, to ja również nie wiem. Ale były pogłoski, że pozaświatowcy potrzebują pilotów samolotów odrzutowych. Nie do lotów rakietami. Samolotami odrzutowymi. Żeby latać do Opustoszałych Miejsc.

---

– **D**o Opustoszałych Miejsc? Po co?

Pandit wzruszył ramionami.

– Może dlatego, że są one puste. Ponieważ są zbyt suche i pustynne, żeby życie mogło się na nich utrzymać. Dlatego, że Denebian Exports może rościć prawo swobodnego wywozu, wszystkiego co tam zostanie znalezione. Tak twierdzą pogłoski. Ale ty z pewnością nie potrafisz pilotować samolotu.

– A czy ty potrafisz?

– Tak – odpowiedział natychmiast Pandit, z delikatnym tonem dumy.

– Mnie też, nauczył mój ojciec. Chciałabym ci podziękować za...

– Nic takiego. Każdy na moim miejscu zachowałby się tak samo. Ten motłoch...

Motłoch nadal był hałaśliwy. Od czasu do czasu rzucali odpadkami w maruderów, dołączających się do końca długiej kolejki. Ale Pandit i Sria stali na przedzie, a drzwi wkrótce się otworzyły. Po kilku minutach Pandit przyglądał się, jak dziewczyna znika w środku. Czekał nerwowo, oblizując spieczoną wargi wyschniętym językiem. Ciągle był wczesny poranek, ale już zrobiło się bardzo gorąco. Potrzebował pracy. Jakiegokolwiek pracy. Potrzebował pieniędzy, którymi za uczciwą pracę pozaświatowcy płacili w tak dużych ilościach. Zastanawiał się, czy fanatyczni guru, w ogóle kiedykolwiek o tym pomyśleli. Potem, drzwi przed nim ponownie się

otworzyły i wyszedł z nich gruby, świecący się od tłustego potu, Wężownik. Wydawał się być jakiegoś rodzaju urzędnikiem.

– Jeszcze jeden! – oznajmił. – Tylko jeden! Reszta z was może sobie pójść.

Za plecami Pandita rozpoczęła się ogólna przepychanka i poczuł nacisk napierających ciał, ale był pierwszy w kolejce i nie oddał swojej pozycji. Wyglądający na wysmarowanego tłuszczem człowiek, skinął na niego, na wpół oczekując łapówki. Pandit przeszedł obok urzędasza bez słowa. Nie miał w kieszeni nawet miedziaka.

Podszedł do biurka. Z dworu dochodził głośny hałas tłumu, ci którzy nie dołączyli się do kolejki tryumfowali, ponieważ większość w niej stojących, została odprawiona z kwitkiem. Za biurkiem siedział mały Denebianin, w średnim wieku. Wyglądał na zdenerwowanego.

– Czy potrafi pan latać? – spytał głosem, piskliwym z napięcia i desperacji.

– Tak – odparł Pandit. A więc pogłoski okazały się prawdziwe.

– Ile lat doświadczenia?

– Pięć, z przerwami.

– Ma pan licencję?

– Na Wężowniku IX, nie mamy licencji – zauważył Pandit.

– Tak, oczywiście. Przepraszam. Przyzwyczajenie. Wy tutaj, nie kłamiecie.

– Próbujemy tego nie robić.

– Pańskie nazwisko?

Pandit podał mu dane. Denebianin zapisał je na formularzu, a potem powiedział:

– Jest pan przyjęty. Płaca wynosi dwadzieścia kredytów za misję. – To nie było dużo, ale więcej niż Pandit się spodziewał.

– Co będziemy przewozić? – spytał. Wydawało się, że pytania nie są mile widziane, ale co mu szkodziło spróbować.

---

**D**enebianin spojrzał na niego znacząco i zaśmiał się.

– Chcesz tę robotę, czy nie?

## Johnny Mayhem

---

- Tak, oczywiście, że chcę.
- No to, nie zadawaj pytań.

Pandit skinął głową.

- A więc, przez te drzwi. Inni nowi piloci, już tam się zbierają.

I Pandit opuścił niewielkie biuro.

Chwilę później, na biurku Denebianina zadźwięczał brzęczyk komunikatora. Powiedział do siatki mikrofonu:

- Tu Orkap. Możesz mówić.

- Guru w pobliżu gmachu Ligi, przekazuje, że jakiś tutejszy Wężownik wyszedł z budynku i skierował się w stronę miasta.

- Kiedy to było?

- Wczoraj, rano.

- I?

- Sam sobie wyciągnij wnioski. Miejscowi z reguły nie chodzą do kwatery głównej Ligi, co nie?

- Nie.

- A Liga, oczywiście, chciałaby się czegoś dowiedzieć o tych samobójstwach?

- Tak, ale...

- Ale, nic - oznajmił przez radio głos, należący do jedyne go Denebianina oprócz niego, znajdującego się obecnie na Wężowniku IX. - Spokojnie możemy założyć, że ten miejscowy, to szpieg. Szpieg Ligi, Orkap.

- No, dobrze. Nadal jednak nie widzę żadnego powodu do niepokoju.

- Naprawdę? Guru, tak jak inni tutejsi, mogą kręcić, ale nie potrafią kłamać. Wcześniej, czy później, guru zostanie wyrwany z transu przez Ligę, przesłuchany i...

- Powie im o nas? - spytał Orkap wstrząśniętym głosem

- To może się wydarzyć. Być może nawet już się stało. Oczywiście, nie będzie żadnych dowodów, ale Liga wysła w takim przypadku szpiega. Myślę, że jestem w stanie opisać ci tego miejscowego.

- No, dalej. - ponaglił Orkap i głos przez radio wykonał polecenie.

Wstrząśniętym tonem, Orkap przyznał:

- Przyjąłem dzisiaj rano tego Wężownika do pracy, jako pilota. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.



## Johnny Mayhem

---

- Acha, a więc teraz rozumiesz? Załapałeś?
- Mogę to naprawić. Mogę...
- Och, Orkap, Orkap. Teraz nie zrobisz nic. Na razie, zostaw tego szpiega w spokoju. Potem, na Opustoszałych Miejscach, po prostu powiadomisz pilotów, że między nimi jest szpieg. Nie wyjawisz im, kto. - Orkap nie mógł uwierzyć własnym uszom.
- Ale...
- Oni chcą tej pracy. Potrzebują jej. Wszyscy będą się bali, że palec sprawiedliwości może wskazać na nich. Będą dla ciebie pracować do upadłego, i wcale bym się nie zdziwił, gdyby sami wykryli tego szpiega.
- Tak - potwierdził entuzjastycznie Orkap. - Tak, teraz rozumiem.
- Wszystko, poza jedną sprawą, Orkap. Jest pewna rzecz, której nadal nie chwytasz. Tego, kto jest tym szpiegiem...
- Już mi mówiłeś, kto nim jest.
- Tak. Ale w grę wchodzi jeszcze jeden szpieg. Ten pracuje dla nas, w budynku Ligi.
- Nic o tym nie wiedziałem - obruszył się Orkap.
- Ten szpieg, którego masz między pilotami, jest dużo ważniejszy, niż wygląda. Czy słyszałeś może kiedyś o Johnnym Mayhemie?
- Serce Orkapa skoczyło mu do gardła. Kto w galaktyce nie słyszał o Mayhemie?
- Ale - wysapał z trudem, - to...
- A jednak. To jest Mayhem.
- Orkap nagle poczuł strach, znacznie silniejszy, niż kiedykolwiek wcześniej w całym swoim życiu. Wszechobecny, tajemniczy Mayhem.

---

**Ś**wiejące szaleńczym blaskiem, białe słońce Wężownika IX, żywym ogniem przypiekało Opustoszałe Miejsca, pustynię, pozbawioną cech charakterystycznych terenu, o średnicy dwóch tysięcy mil, jaskrawo białą, jak wyschnięta kość. Na tym rozpalonym pustkowiu, odrzutowiec transportowy wydawał się być bardzo mały i niewiele znaczący, jak czarny komar na wściekle białym piasku.

## Johnny Mayhem

---

Jak mniejsze komary między większymi, wokół samolotów chodzili nowi piloci.

Jeden z nich stwierdził:

– Ale nigdzie nie widzę żadnego ładunku.

Ktoś odparł mu filozoficznie:

– Ci pozaświatowcy i ich tajemnice.

Wszyscy byli spoceni i czuli się zmęczeni, ale byli wdzięczni za dwadzieścia kredytów za lot, które mieli zarobić, niezależnie od tego co było ich ładunkiem.

– Co myślisz? – Pandit spytał Srię.

– Myślę, że jeszcze nigdy nie było mi tak gorąco. Czuję się, jakby miano mnie upiec żywcem.

– Już idzie Denebianin.

Zostali zawiezieni w Puste Miejsca piaskowymi saniami. Podróż trwała dwa dni, ale ponieważ sanie były klimatyzowane, nikt nie narzekał. Kiedy zobaczyli kilka czekających odrzutowców, wiedzieli już, po co przywieziono ich do tej dzikiej krainy. Odrzutowce były niewielkimi transportowcami, każdy z nich zawierał miejsce dla pilota, drugiego pilota i przedział na może tonę ładunku. Cokolwiek Denebianie chcieli stąd wywozić, nie zajmowało to zbyt dużo miejsca.

W ich stronę, obok jednego z samolotów, zmierzał Orkap z Deneba. Zaczął mówić, bez żadnych wstępów:

– Wasze ładunki są już popakowane i czekają gotowe do transportu, w podziemnym magazynie, położonym pięćset jardów stąd. Podzielcie się na pary, złożone z pierwszego i drugiego pilota, do każdego odrzutowca. – Sria Krishna i Pandit, już wcześniej, sami dobrali się w parę. – Będziecie pracować zgodnie z ustalonym przez siebie harmonogramem, przewożąc towar przy pomocy ślizgów rolkowych, ładując go do samolotu i dostarczając drogą lotniczą na stojący w porcie kosmicznym denebiański frachtowiec. Kiedy skończycie, otrzymacie swoją płacę.

– A gdzie mamy spać? – ktoś zapytał.

---

**O**rkap uśmiechnął się w odpowiedzi.

## Johnny Mayhem

---

- Nie jesteście tutaj, żeby spać. Ilość ładunku do przewiezienia, jest ograniczona. Odrzutowce są szybkie. Wasza płaca będzie proporcjonalna do rozmiarów pracy, jaką w to włożycie. Jeszcze jakieś pytania?

- A co z jedzeniem? - spytał pulchny, młody Wężownik.

- Otrzymacie tabletki energetyczne, w ilościach, jakie będziecie chcieli. Czy jeszcze jakieś pytania? Nie? Dobrze. Mam jeszcze dwie dodatkowe sprawy, o których muszę powiedzieć. Pierwsza, w żadnych okolicznościach, nie wolno wam sprawdzać przewożonych ładunków, ani tutaj, ani podczas lotu, ani na lądowisku kosmicznym. W każdym samolocie są telewidowe jednostki nadawcze, tak więc będziecie obserwowani, przez cały czas. Druga sprawa... - Orkap zrobił przerwę i pozwolił aby cisza opadła ciężarem, rozkładając się na całym, zalanym oślepiającą bielą, placu. - Pomiedzy wami jest szpieg, noszący na sobie ciało Wężownika, ale tak naprawdę... no cóż, nie muszę wam chyba mówić, kim on jest naprawdę. - Orkap uśmiechnął się ponuro. - Jest tylko jeden człowiek w galaktyce, potrafiący zmieniać ciała, ale nawet ten jeden, to już za dużo.

Jeden z pilotów wykrztusił, z trudem otwierając usta:

- Johnny Mayhem!

Orkap znowu się uśmiechnął.

- Ja wiem, kto jest Mayhemem - oświadczył. - Nie mam jednak zamiaru nic w tej sprawie robić.

Piloci czekali. Słońce płonęło złowrogim blaskiem.

- Widzicie - powiedział im Orkap, - nie możemy być tak do końca pewni, że reszta z was, jest tutaj tylko po to, żeby zarobić swoje dwadzieścia kredytów za lot. Mayhem mimowolnie stał się naszym ubezpieczeniem. Znajdźcie go! Znajdźcie szpiega w waszych szeregach! Sto kredytów ekstra, dla tego, kto tego dokona!

---

**P**andit popatrzył na Srię, która na te słowa cicho zagwizdała. Dziewczyna wyjaśniła:

- Nawet jeżeli wszyscy sądzą, że dadzą radę skończyć robotę, bez przerwy na sen, przenosząc ładunek, transportując go samolotem na lądowisko kosmiczne i

## Johnny Mayhem

---

wracając po kolejny, to sto kredytów jest kwotą na tyle dużą, że prawdopodobnie nikt z nas tyle nie zarobi. Wszyscy będą więc wypatrywać tego Mayhema, jak jastrzębie.

- A w dodatku - zgodził się z nią Pandit, - jeżeli między nimi jest jakiś miejscowy szpieg, będzie bał się ujawnić, żeby inni nie pomyśleli, że to on jest Mayhemem. Bardzo sprytne zagranie ze strony Denebian.

- ... natychmiast zabrać się do roboty - mówił właśnie Orkap. Do biodra miał przypięty blaster, był jedynym uzbrojonym człowiekiem, pośród nich. Wszyscy wyruszyli za nim w mozolną wędrówkę, przez rozpalone, pozbawione cech charakterystycznych, piaski. Wkrótce dotarli do zagłębienia terenu, z którego usunięty został cały piach, odsłaniając białe skalne podłoże Opustoszałych Miejs. W skale wycięty był kwadratowy otwór, chroniony ze wszystkich stron przed nawiewanym piaskiem, przez zakrzywiające się do góry grube osłony. W dół, ginąc w ciemności, prowadziła rampa.

- Wasze ładunki są tam, na dole. Jest tam również wystarczająco dużo ślizgów rolkowych, aby można je przewieźć - wyjaśnił Orkap. - Ładunki zapakowane są w skrzynie. Te skrzynie muszą pozostać nienaruszone. Czy to jest jasne?

Wszystko było jasne.

Otoczeni całunem raptownie wznieconych wzajemnych podejrzeń, palących gorzej, niż gorąco pustyni, Wężownicy schodzili po rampie. Potrzebowali pieniędzy, inaczej by ich tutaj nie było. Pieniądze były dla nich ważniejsze niż wszystko inne: nie było więc czasu, aby się dłużej zastanawiać. A jednak, któryś z nich był szpiegiem Ligi Galaktycznej -- Johnnym Mayhemem.

Któryś z nich, ale kto?

Pandit szybko oszacował liczbę skrzyń. Były starannie ułożone w stos pod jedną ze ścian, każda z nich miała mniej więcej cztery stopy, na cztery, na cztery. Patrząc na ich rozmiary, jedna skrzynia powinna wypełnić komorę ładunkową każdego z czekających odrzutowców. Pandit z grubsza przeliczył. Dwa tuziny skrzyń, może. Trudno było powiedzieć, w przyćmionym świetle. Dwa tuziny skrzyń, sześć odrzutowców, dwunastu Wężowników. Cztery przeloty dla każdego odrzutowca. Pół godziny na załadunek, dziesięć

## Johnny Mayhem

---

minut na rozładunek, półtorej godziny odrzutowcem na lądowisko kosmiczne. Cała pętla, trzy godziny, czterdzieści minut. Powiedzmy, cztery godziny. Cztery razy cztery, szesnaście. Szesnaście godzin nieprzerwanej pracy, za osiemdziesiąt kredytów. Nie ma czasu na żadne tajemnice i podejrzenia. Ledwie go starczy na brak zaufania.

– Hej, ty! – zawołał jakiś głos. – Co ty tam robisz?

Był to głos jednego z pozostałych Wężowników, chyba największego spośród nich. Pandit widział go już wcześniej, na zewnątrz, i zapamiętał jego nazwisko. Nazywał się Raj Silva, wysoki, muskularny, zwalisty Wężownik, o małych, podejrzliwych oczkach i żywo czerwonej bliźnie po boku szczęki.

– Nic – odparł Pandit. – Zupełnie nic.

– Nic? Inni zabrali się już za załadunek. Będę na ciebie uważał.

Dla stu kredytów, pomyślał Pandit ze wściekłością, ale na głos nic nie powiedział. Sria dotknęła jego ramienia:

– Znalazłam już wolny ślizg rolkowy – powiedziała. – Lepiej zabierzmy się do pracy.

– Racja – przyznał Pandit.

Raj Shiva obserwował ich jeszcze przez kilka chwil, a potem oddalił się ze swoim własnym partnerem. Załadowanie jednej ze skrzyń na pokład odrzutowca, zajęło Panditowi i Sria kilka minut poniżej pół godziny, ciężkiej, zroszonej obfitym potem pracy, w niesamowitym upale. Trzy z pozostałych samolotów, wystartowały już przed nimi w powietrze, z wyciem powietrza mknąc w kierunku lądowiska kosmicznego.

Pandit przyjrzał się skrzyni. Nie było na niej żadnych oznaczeń, nigdzie. Drewno wyglądało na względnie świeże, ale to absolutnie nic nie znaczyło. W suchym i gorącym klimacie Opustoszałych Miejsc, mogłoby wytrzymać sto lat, a nawet tysiąc. Nie było możliwości określenia, jakie jest stare.

---

– **G**otowe? – zawołała siedząca przy sterach Sria Krishna.

Pandit umocował skrzynię w przedziale ładunkowym.

– Gotowe – odpowiedział.

## Johnny Mayhem

---

Kilka chwil później, przyspieszenie wcisnęło im plecy, w bliźniacze fotele pilotów.

Sria wyrównała samolot na dwudziestu tysiącach i pomknęli osiemset mil na godzinę, w stronę miasta i znajdującego się tuż za nim, lądowiska kosmicznego.

- Czy nie ciekawi cię to? - spytała po chwili Sria.

- Co?

- Ładunek.

- To nie nasza sprawa.

- Wiem - roześmiała się Sria. - Ale rozumiesz, ja jestem kobietą.

Pandit wyszczerzył zęby w jej stronę:

- Ciekawość - stwierdził. - Cecha kobiet na każdej z planet.

Sria podniosła się z fotela pilota, ale Pandit położył jej rękę na ramieniu i łagodnie ściągnął ją z powrotem na dół.

- Mają przecież jednostkę telewizyjną na pokładzie - przypomniał jej, - pamiętasz?

Sria skinęła głową. Odrzutowiec mknął naprzód.

Wylądowali na lądowisku kosmicznym. Byli czwartym odrzutowcem, który tam dotarł, a jeden z pozostałych trzech, wystartował już na trasę powrotnego odcinka. Jakiś Denebianin, którego Pandit nigdy wcześniej nie widział, kierował ubranymi w przepaski biodrowe robotnikami, ładującymi skrzynie na pokład denebiańskiego statku kosmicznego. Razem ze Srią podjechali ze swoją skrzynią na ślizgu rolkowym, wrócili potem ze ślizgiem do swojego odrzutowca i wystartowali.

---

**M**inęło niemal cztery godziny od rozpoczęcia pracy, kiedy wrócili do Opustoszałych Miejsc. Zaoszczędzili trochę czasu i byli drugim zespołem, który tam wylądował. Ze znajdującego się tuż przed nimi odrzutowca wysiadł Raj Shiva, prowadzący za sobą swojego wymizerowanego kopylota, człowieka w średnim wieku.

Orkap stał w pomieszczeniu podziemnego magazynu. Spoglądając na chrono, na nadgarstku, powiedział do schodzącej rampą czwórki Wężowników:

– Niezły czas zrobiliście.

Wymizerowany towarzysz Raja Shivy, coś mu odpowiedział, ale Raj Shiva złapał go za ramię i pośpiesznie zaczęli ładować drugą skrzynię. Pandit i Sria, w milczeniu, zajęli się swoim ładunkiem.

Swoją drugą rundę, wykonali dokładnie w cztery godziny. Kiedy wrócili do Opustoszałych Miejsc, było już ciemno. Sria martwiła się, że mogą nie znaleźć miejsca, w którym czekał ładunek, ale Pandit pewnie sprowadził mały odrzutowiec na ziemię, w odległości niecałych dwustu jardów od miejsca, z którego wystartowali.

Kiedy wyłączyli światła pozycyjne samolotu, wszędzie dookoła zaległa kompletna ciemność, poza lekką poświatą dolatującą z podziemnego magazynu. Doszli do niego i zeszli na dół, po rampie. Pandit ocenił, że do tej pory zniknęła już połowa skrzyń. Zrobił szybkie kółko, obchodząc słabo oświetlone pomieszczenie, podczas gdy Sria podciągnęła ślizg rolkowy na miejsce, przed jedną ze skrzyń.

– Nikogo tutaj nie ma – szeptem zauważył Pandit. – Denebianin musiał pójść spać, pewnie gdzieś w miękkim piaseczku.

– Tak – odparła Sria, przyciszonym głosem.

– Tak sobie myślałem...

– O czym? – powiedziała Sria. – Mów dalej.

– Gdybyśmy chcieli sprawdzić jedną z tych skrzyń, szaleństwem byłoby otwierać tę, którą zabierzemy. Ale moglibyśmy otworzyć którąś z tych, tam na dole, zobaczyć co w niej jest, a potem dla siebie zabralibyśmy inną...

– Zrobiłbyś to? – spytała go Sria. – Dlaczego?

Pandit wzruszył ramionami.

– Mam oczy – odparł. – Nasi guru nie transmitowali chęci śmierci dla pozaświatowców, zanim nie przybyli tutaj Denebianie. Potem zaczęli to robić. Czy to Denebianie sprzedali im ten pomysł?

– Nie wiem – przyznała Sria.

– No cóż, założmy, że tak faktycznie było. Dlaczego? Dlaczego mieliby coś takiego robić, Sria?

- **W** wyjaśnijmy sobie kilka rzeczy, Pandit. Po pierwsze, myślisz, że guru naprawę zmuszają pozaświatowców, do tego, żeby zadawali sobie śmierć?

- Oczywiście – potwierdził Pandit. – Mamy do czynienia z sugestią umysłową, na tak ogromną skalę, że tylko guru są w stanie ją wyemitować. Zrozum jednak, Sria, że oni nigdy by tego nie zrobili, tak sami z siebie. Guru może są brudni, może też nie dbają o swoje ciała... ale przede wszystkim są strasznie aroganccy. Nie mówiąc już o innych rzeczach, nigdy by im nawet do głowy nie przyszło, że pozaświatowcy są na tyle ważni, żeby w ogóle, marnować na nich swój cenny czas. A już z pewnością by ich nie zabijali.

- Mów dalej – ponagliła go Sria.

- Dobrze. Guru mają ogromną wiedzę na temat mistyki, ale w stosunkach ze światem zewnętrznym, są strasznie naiwni. Przypuśćmy, że ktoś tutaj przyleciał -- w tym przypadku, chodzi mi o Denebianina -- i znalazł na Wężowniku coś, czego strasznie potrzebował. Tego, co jest w tych skrzyniach, Sria. Jak mógłby rozwiązać ten problem? Mógłby pójść do guru i przekonać ich -- co wcale nie byłoby aż takie trudne -- że jakiegokolwiek kontakty z pozaświatowcami, są dla Wężowników strasznie szkodliwe. Że ci pozaświatowcy mają zamiar skolonizować i eksploatować naszą planetę, czy coś w tym stylu. W czasie gdy guru ugrzęźliby w tej sprawie, Denebianie mogliby sobie tutaj przygotować ten ładuneczek -- cokolwiek jest tam w środku -- do wywiezienia. Ale guru, których przekonywanie poszło aż za dobrze, mogli zacząć działać wcześniej, niż spodziewali się nasi kombinatorzy, zmuszając wszystkich pozaświatowców, poza niewielką garstką, a wśród nich również Denebian, żeby wyjechali stąd ze strachu, że mogą odebrać sobie życie. Być może paru z nich, jak Orkap i ten drugi Denebianin, są odporni na sugestię samobójstwa. Być może, paru z nich jest w stanie jej się oprzeć. Natomiast cała reszta, spakowała manatki i uciekła poza obszar wpływu umysłów guru, albo w ogóle wyniosła się z Wężownika. Co pozostawiło Denebian z problemem, o którym wcześniej nie pomyśleli.

Słowa Pandita, miały sens.



## Johnny Mayhem

---

- Tak, zawołała z podnieceniem Sria. - W końcu, kiedy już przygotowali swój cenny ładunek do wywozu, w jaki sposób mieli go zabrać z Wężownika, bez jakiejś pomocy?

- To my - dodał przyciszonym tonem Pandit, - jesteśmy tą pomocą.

Sria spytała:

- I co masz zamiar z tym zrobić?

- Nie wiem. Uczciwie mówię, nie wiem. Nigdy nie miałem nic przeciw pozaświatowcom. Niby czemu miałbym coś mieć? Wszyscy tutaj jesteśmy potomkami pozaświatowców, którzy przybyli na Wężownika niemal pięćset lat temu z miejsca nazywanego Indie, na Ziemi. Ale guru...

- ...zostali oszukani. Sam przecież tak powiedziałeś.

Pandit pocił się obficie, i powodem tego pocenia musiało być coś więcej, niż tylko gorąco. Zaczął krążyć niespokojnie po magazynie. Podeszedł do skrzyń, wrócił do niej, a następnie ponownie podeszedł do skrzyń. Nagle zdecydował się:

- Już dobrze, dobrze. Zrobię to. Ktoś musi sprawdzić, czego ci Denebianie tutaj szukali.

I Pandit zaczął bacznie oglądać jedną ze skrzyń, trzymając już w ręku nóż, który zawsze nosił przy sobie, w swojej przepasce biodrowej. Sria zaproponowała:

- Popilnuję czy nikt nie idzie. Zawołaj mnie, jak ją otworzysz.

- Może powinnaś stąd wyjść? Tak na wszelki wypadek, gdyby coś się stało. Nie chcę, żebyś została w to wmieszana.

Ale Sria już weszła rampą na górę i przykucnęła przy wejściu, czekając i czujnie się rozglądając. Pustynia była bardzo spokojna, było zupełnie bezwietrznie i gorąco, nawet w nocy. W górze na niebie skrzyły się gwiazdy i gdzieś z daleka wydawało jej się, że dosłyszała przytłumione wycie silnika odrzutowca.

- Pośpiesz się - zawołała. Z dołu usłyszała trzask drewna, odłamywanego z większego kawałka. Usłyszała ponownie, albo wydawało jej się że słyszy, odgłos silnika odrzutowca, ale dobiegający z bliższej odległości. - Pośpiesz się! - zawołała przyciszonym głosem.

W końcu doleciały do niej trzy słowa:

- Chodź tutaj, Sria.

Poczuła lekką ulgę. Nareszcie skończył.

---

**N**asłuchiwała odgłosów zbliżającego się odrzutowca. W tej chwili, jednak, nic już nie słyszała. Zeszła szybko po rampie, do magazynu.

Mocno zasapany Pandit stał przy jednej ze skrzyń. Odłamał jeden z jej boków, odsłaniając gładką, metalową powierzchnię. Na całym odsłoniętym fragmencie, była popisana jakimiś namalowanymi farbą literami.

Wyjaśnił:

– Nie potrafię tego przeczytać. To język, z którym nigdy wcześniej się nie spotkałem.

Sria nachyliła się mocniej, przyglądając się namalowanym literom. Nagle odezwał się jakiś głos, zdecydowanie nie należący do Pandita:

– Tak sobie myślałem, że to będzie wasza parka... Stać, nie ruszać się!

W wejściu zobaczyli, oświetloną blaskiem gwiazd, wielką umięśnioną sylwetkę, a obok niej drugą, szczupłą postać na cienkich nóżkach. Raj Shiva i jego drugi pilot.

– Sto kredytów na głowę, Handus – oświadczył Raj Shiva, schodząc po rampie. – Czy mógłbyś zająć się dziewczyną, żeby nie uciekła?

Handus pośpieszył biegiem na dół.

Pandit stawiał czoła Rajowi Shive, zaraz koło wejścia na rampę. Pandit, jak na standardy Wężownika, był potężnym mężczyzną, ale Raj Shiva był od niego większy.

– Uciekaj, Sria! – zawołał Pandit i ruszył na giganta, z nożem.

Raj Shiva zablokował cios przedramieniem, a potem jego ręka wykonała szybki ruch i nóż zaklekotał po podłodze. Sria podbiegła do rampy, a jej gołe stopy plaskały szybko na kamiennej podłodze. Handus czekał na nią koło rampy, w niezdarnym przysiadzie. Kątem oka pochwycił widok siłujących się Raja Shivy i Pandita, ale Handus już uderzył ją zaciśniętą pięścią. Było to słabe uderzenie, ale Sria zatoczyła się do tyłu, a szczeka jej zdrętwiała. Śmiejąc się piskliwie, Handus rzucił się na nią. Odepchnął ją do tyłu. Cofając się,

## Johnny Mayhem

---

potknęła się o coś i upadła. Na chwilę w głowie zamigotały jej wszystkie światła.

W głowie... nie! Raj Shiva i Pandit przetaczając się po całym pomieszczeniu, uderzyli w coś, rozległ się głośny, trzask pęknięcia, potem buczenie, i światła zgasły.

- Gdzie ona jest! - zawołał Handus. - Nie mogę jej znaleźć!

Usłyszała jak szuka jej dookoła, po omacku, na tle odgłosów walki pozostałej dwójki. Pozbierała się na nogi i stała bez ruchu, czekając na jakąś okazję. Szkoda, że nie miała żadnej broni... czegoś... była tylko kobietą...

Wtedy jakiś głos szepnął do niej:

- Szybko, Sria! Szybko!

- Pandit?

Złapał ją w ciemności za rękę. Było tak ciemno, że zupełnie go nie widziała. Podeszli do skrzyń i z wysiłkiem zapakowali jedną z nich na swój ślizg.

- To nie ta otwarta? - wysapała Sria.

- Nie. Nie.

Usłyszeli tupot... Przez chwilę zobaczyli czyjąś sylwetkę, na tle rozgwieżdżonego nieba. Handus uciekał, pewnie po to, aby wezwać pomoc.

Wyciągnęli swój ślizg na dwór i ruszyli z nim przez piach, w kierunku czekającego odrzutowca. Załadowali skrzynię do ładowni. Podczas gdy Pandit w ciemności kończył pracę, Sria usiadła za sterami.

- Gotów? - przekrzyczała wycie silników.

Pandit odpowiedział jej, że tak. Ledwie słyszała jego głos.

W chwilę później, niewielki transportowiec odrzutowy, znalazł się już w powietrzu.

---

**S**łyszała odgłosy ruchów Pandita, w małej kabinie za plecami. Spytała go:

- Powinniśmy zabrać to do przedstawicielstwa Ligi, jak myślisz?

Musiła głośno krzyczeć, żeby mógł ją usłyszeć powodzi ryku i wycia silników odrzutowych.

- Dlaczego?

## Johnny Mayhem

---

- Udało mi się trochę odczytać, z tego co jest napisane na ładunku, w skrzyni. To po procyoniańsku, Pandit. Czy słyszałeś kiedyś o Procyonianach?

Milczenie.

- A więc, Procyonianie byli najbardziej wojowniczym ludem w galaktyce. Chodziły słuchy, że gdzieś ukryli skład z bombami termojądrowymi, po zakazaniu tej broni w dwudziestym piątym wieku. Składu nigdy nie udało się odnaleźć, aż do dzisiejszej nocy. To my go znaleźliśmy, Pandit.

- Ale Orkap i...

- To prawda. Wcześniej znaleźli go Denebianie. Nie rozumiesz, Pandit? Orkap i inni, prywatni denebiańscy handlarze. To nie rząd. W dzisiejszych czasach, to nigdy nie jest rząd. Tylko pozbawieni skrupułów osobnicy, Pandit, którzy wchodzą w posiadanie dwóch tuzinów bomb wodorowych. Przecież oni mogą nawet przejąć władzę u siebie, pod groźbą natychmiastowej zagłady, albo na jakiejś innej bogatej planecie, którą mieli wcześniej na oku, ewentualnie...

- Rozumiem - Głos Pandita był ledwie słyszalny, ginąc w wyciu silników.

- Czemuś takiemu, zaradzić może tylko Liga Galaktyczna - mówiła dalej Sria. - Teraz, wszystko już wyszło na jaw -- albo wyjdzie zaraz, jak tylko dolecimy na lądowisko kosmiczne. Zrobiłeś już, co do ciebie należy, Pandit, i twoi rodacy nigdy ci tego nie zapomną. To samo, co do mnie, moja praca tutaj, także jest już zakończona.

- Twoja praca?

Przekrzykując wycie silników, Sria zawołała:

- Tak. To ja jestem Johnny Mayhem. - Uśmiechnęła się w ciemności. Johnny Mayhem, pomyślała, w ciele dziewczyny. No cóż, był już młodym mężczyzną, i starym. Chorym i zdrowym. Człowiekiem i obcym z innej planety. A więc, dlaczego nie miałby być również dziewczyną?

---

**K**ompletnie niespodziewanie, poczuła na ramieniu ciężką rękę Pandita. Obróciła się do tyłu i w zupełnych

## Johnny Mayhem

---

ciemnościach, rozświetlanych tylko słabymi światełkami przyrządów na desce pilota, zauważyła błysk ostrza noża. Wyglądająca spoza ostrza twarz, patrząca na nią z ciemności, nie należała do Pandita. Tak naprawdę, to nie wiedziała przecież, czy to jest Pandit. Nie widziała go. Ledwie słyszała jego głos.

To był Raj Shiva.

- Zabierz nas do Denebian Exports - poleciał, - albo cię zabiję i polecę tam sam.

- Popelniasz błąd. Należycie do Ligi Galaktycznej i nie przyłączycie się do garstki awanturników, którzy...

- Denebianie mają rację - z fanatyzmem w głosie odparł Raj Shiva. - Dużo lepiej by było, gdyby pozostawiono nas w spokoju.

- Ja lecę do portu kosmicznego -- i do Ligi.

- Zabiję cię. Wiem o tobie wszystko, Mayhem. Tak naprawdę, to nie jesteś kobietą. Nie jesteś nawet stąd. To jest ciało zmarłej osoby, co nie? Ale jeżeli je zabiję -- ponownie -- kiedy jesteś w środku, ty również umrzesz. Czy teraz zrobisz to, co powiedziałem?

---

**T**ej brzemiennej w skutki nocy, przynajmniej jeżeli nie uda się coś z tym wszystkim zrobić, ładunek broni termojądrowej znajdzie się w kosmosie, co skończy się pierwszym wybuchem termojądrowym w galaktyce, od niemal pięciuset lat. Czy ludzkość zacznie w końcu kiedyś się uczyć? Pomyślał ze zmęczeniem Mayhem-Sria. Oczywiście, znał odpowiedź na to pytanie: większość ludzi tak, ale zawsze znajdzie się paru odpornych na wiedzę, którzy odmawiając nauki, mogą ściągnąć zagładę na całą galaktykę...

Kilka chwil wcześniej, misja była oczywistym sukcesem. Teraz zmieniała się w porażkę. Albo śmierć. Albo obie te rzeczy na raz.

Ręka Sria nagle wystrzeliła, uderzając w pulpity sterownicze. Odrzutowiec rzucił się w stronę ziemi, z długim narastającym wyciem. Sria poczuła, że olbrzymie przyspieszenie wpycha jej plecy, w wyściełany fotel pilota.

Usłyszała dziki wrzask Raja Shivy, ale nie była nawet w stanie, odwrócić się do tyłu, żeby zobaczyć co się stało. Z zaciśniętymi wargami, utrzymywała kurs w dół, z najwyższą szybkością. Zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, i że może to zakończyć się katastrofą. Jej ciało powinno wytrzymać, nawet gdyby potem miała stracić przytomność. Ale jeżeli nie utrzyma lotu nurkowego do ostatniej chwili, Raj Shiva przejmie kontrolę nad samolotem i jego tak niesamowicie ważnym ładunkiem. Była tylko dziewczyną, ale chroniła ją antywypadkowa wyściółka fotela pilota. Raj Shiva, pozbawiony takiej ochrony, był gdzieś z tyłu, za nią...

Mały statek powietrzny pędził w dół, przez wyższe warstwy atmosfery Wężownika IX, z wizgiem otaczającego go rzadkiego powietrza, a kontrolka czujnika gorąca migotała ostrzegawczo, nieustannie zapalając się i gasnąc, podczas gdy tarcie coraz bardziej rozpalało cienką powłokę odrzutowca. Wizg powietrza robił się coraz głębszy i niższy, w miarę jak atmosfera stawała się gęstsza...

Dziesięć tysięcy stóp.

Osiem tysięcy.

Sześć.

Ciemność przed oczyma Srii zgęstniała do czerni. Każdy oddech okupiony był ciężkim wysiłkiem. W czaszkę wbijały jej się z rozpędem igły bólu, zagłębiały się jej w oczy. Otworzyła usta do krzyku, ale niczego nie usłyszała. Czuła się tak, jakby coś usiłowało precyzyjnie przecisnąć jej ciało przez ochronne poduszki fotela pilota.

Pięć tysięcy stóp.

Cztery tysiące.

Ciemność, spokój i spowijające ją coraz mocniej wyczerpanie...

Trzy tysiące stóp.

Przy pomocy z trudem funkcjonujących rąk, Sria z największym wysiłkiem wyciągnęła odrzutowiec z tego śmiertelnego nurkowania. Opadła bezwładnie w fotel pilota, przez dłuższą chwilę czując się zbyt słaba, aby zrobić cokolwiek innego.

Potem obejrzała się, żeby sprawdzić co się stało z Raj Shivą.

## Johnny Mayhem

---

Leżał bezwładnie nieprzytomny, pod tylną grodzia przedziału transportowego.

---

**M**ayhem-Sria wylądował samolotem i, środek nocy czy nie, zażądał spotkania z Kovandaswamym. Raj Shiva otrzymał odpowiednią opiekę. Samolot wyruszył, wylądowany funkcjonariuszami Ligi, którzy byli odporni na życzenia śmierci emitowane przez guru, i uzbrojeni po zęby. Wylądowali oni koło składu i przejęli nad nim kontrolę. Pandita znaleziono nieprzytomnego, ze złamaną ręką, ale poza tym, wszystko było z nim w porządku. Drugi odrzutowiec, powstrzymał statek Denebian Exports przez startem, z załadowanymi już wcześniej bombami wodorowymi. Orkipem i jego towarzyszem, również pieczołowicie się zaopiekowano.

Reszta, oczywiście, znana jest już z historii. Guru z Wężownika IX, pokazano co się działo, w imieniu przyjaźni między nimi, a Denebem, oraz w imieniu izolacji. Większość z guru wycofała się całkowicie z aktywnego życia. Paru z nich, którzy tego nie zrobili, spędziło resztę swojego życia, pracując dla rozwoju harmonijnej współpracy między Wężownikiem i resztą Ligi Galaktycznej. Orkapa i jego towarzysza odesłano na Deneba do ukarania.

---

**D**wa tygodnie później, Kovandaswamy uściśnął rękę Srii.

- Dziewczyna - stwierdził. - Zrobił pan to jako dziewczyna. Nadal nie mogę w to uwierzyć. Ale przecież, takie właśnie rzeczy, budują legendę Mayhema.

Mayhem uśmiechnął się. Ośrodek miał już dla niego nowe zadanie. Czuł to poruszające, od dawna mu znane podniecenie, ciekawość. Uśmiechnął się tylko i powiedział Kovandaswamyemu:

- Lepiej niech pan nic nie mówi Panditowi. Myślę, że trochę się zadurzył w Srii.

# Johnny Mayhem

---

KONIEC



Adam Chase (Stephen Marlowe – Milton Lesser<sup>1</sup>)

# **Dom jest tam skąd pochodzisz**

(Home is Where You Left It)

Styczeń 1957

---

<sup>1</sup> Autorem opowiadania jest Stephen Marlowe, autor który w gatunku SF najbardziej znany jest pod jednym ze swoich pseudonimów literackich Milton Lesser.

*Jak wstrętna jest najbardziej ohydna zdrada? Czy najbardziej zatwardziały zdrajca ma prawo do litości? Steve postawił sobie te pytania. Jaka była jego odpowiedź? Że czasami możliwe jest, aby nawet nikczemnik nazwany został bohaterem.*

**K**iedy Steve Cantwell dotarł do wioski, powitały go jedynie opustoszałe skorupy domów z cegieł z suszonego błota.

Pokręcił się przez chwilę dookoła. Gorąco pustyni było trudne do zniesienia, wręcz palące, a syriańskie słońce rozbłyskiwało złowrogo na łopatach unikoptera Steve'a, którym przyleciał z położonego niemal pięćset mil stąd Oasis City. Ze swojego dzieciństwa, pamiętał ciągle gorąco jakie panowało tutaj, na drugiej planecie Syriusza, na której znajdowała się ziemska kolonia, ale nawet wtedy nie było aż tak gorąco, jak dzisiaj. Czuł się jak w suszarce, wysysającej z jego ciała ostatnie krople wilgoci.

Chodził między budynkami, a na jego wynędzniałej, cierpiącej z powodu gorąca twarzy, odbijały się zaskoczenie i chyba smutek. Wspomnienia z dzieciństwa, wezbrały mu ponownie w myślach: jedyna studnia, z której czerpały wodę wszystkie rodziny, centrum wioskowe, w którym jako chłopiec spędził najszcześniejsze chwile swojego życia, dom z cegieł z suszonego błota, niewiele różniący się od innych, po prostu cztery ściany i dach. Po tym jak rodzice Steve'a zginęli w ataku *Kumaji*, mieszkał w nim razem z ciotką.

Podszedł do studni i wyciągnął sobie pełne wiadro wody. Korba skrzypiała dokładnie tak, jak to pamiętał. Nagle bardzo spragniony, zaczerpnął wody chochlą i podniósł ją do ust.

Odrzucił chochlę od siebie. Woda była gorzka. Ale nie słonawa.

Zatruta.

Pluł z furją, a potem upadł na kolana i napełnił usta piaskiem, niemal krztusząc się z pośpiechu. Po chwili wypluł również piasek, otworzył swoją manierkę i przepłukał usta. Jego wargi i język były odrętwiałe po kontakcie z trucizną. Przeszedł szybko przez plac, na którym znajdowała się

studnia, i ruszył w stronę domu swojej ciotki. W środku panował półmrok, ale było tylko nieco chłodniej. Steve pocił się obficie, spływające do oczu słone krople, zmuszały go do nieustannego mrugania. Popatrzył groźnie, nic nie rozumiejąc. Stół w domu jego ciotki był zastawiony. Czajnik z kawą stał na piecu, a częściowo zjedzona kolacja z ostatniej nocy, ciągle znajdowała się na stole.

Studnia była zatruta, miasteczko opuszczone w jednej chwili, a Steve wrócił z Ziemi do swojego domu, w którym spędził dzieciństwo -- za późno na cokolwiek.

Wyszedł na zewnątrz, na plac. Samotna jaszczurka wygrzewała się na słońcu, przypatrując mu się, pozbawionymi powiek oczyma. Kiedy ruszył przez plac, jaszczurka natychmiast uciekła.

- Ziemianinie! - rozległ się drżący głos.

Steve pobiegł w stronę jego źródła. W skąpym cieniu wioskowego centrum, odpoczywał Kumaji. Był to zasuszony stary człowiek, z ogromnymi oczyma w czerwonych obwódkach. Sama skóra i kości, pokryte sztywną od potu tuniką. Jego zwykle purpurowa cera, opalona przez bezlitosne słońce, była niemal czarna.

Steve przycisnął mu do warg manierkę i przyglądał się jak gardło tubylca, pracuje niemal spazmatycznie, aby pociągnąć wodę. Po chwili Steve odsunął manierkę i zapytał:

- Co się tutaj stało?

- Oni poszli sobie. Wszyscy odeszli.

- Tak, ale co się stało?

- Kumaji...

- Ty jesteś Kumaji.

- To jest moje miasto - odparł stary człowiek. - Ja żyłem razem z ludźmi. A teraz, oni odeszli.

- Ale ty zostałeś tutaj...

- Żeby umrzeć - stwierdził stary człowiek, bez użalania się nad sobą. - Jestem za stary żeby uciec, za stary żeby walczyć, za stary na cokolwiek, poza śmiercią. Więcej wody.

---

**S**teve dał mu kolejnego łyka.

## Johnny Mayhem

---

- Ciągłe mi nie powiedziałeś, co się tutaj stało. - Tak prawdę mówiąc, to Steve miał co do tego, pewne domysły. W dwudziestym drugim wieku, kiedy populacja Ziemi wzrosła do poziomu jedenastu miliardów ludzi, miejsca na kolonie poszukiwano niemal wszędzie. Nawet na spieczonych słońcem, pustynnych pustkowiach, takich jak tu. Plemiona Kumaji jednak, nigdy nie zaakceptowały kolonii, jako faktu wpływającego na ich życie na pustyni, i w pewnym sensie Steve nie mógł ich za to specjalnie winić. Oznaczało to jedną oazę mniej, do wykorzystania w ich koczowniczym życiu. Kiedy Steve był chłopcem, ataki Kumaji były częste. W szkole, na Ziemi i na Księżycu, czytał o kolejnych atakach, o wzrastającej ich bezwzględności. O tym, że ziemski rząd, umiejscowiony tak daleko i kompletnie niezdolny do ochrony swoich najodleglejszych kolonii, sugerował wycofanie się z osiedla na pustyni Kumaji, zwłaszcza, że kolonia mogła tam egzystować jedynie w najbardziej prymitywnych warunkach, na poziomie niemal takim, jak sami purpurowo-skórzy tubylcy Kumaji.

- Kiedy to się stało? - dopytywał się Steve.

- Ostatniej nocy. - Obecnie było wczesne popołudnie. - Trzech ludzi umarło - powiedział Kumaji w niemal doskonałym angielskim, - z powodu zatrucia studni. Studnia stanowiła ostatnią kroplę. Koloniści nie mieli wyboru. Musieli odejść, i to odejść szybko, zabierając ze sobą każdą kroplę wody, jaką mieli w domach.

- Czy chcą spróbować pokonać na piechotę całą drogę do Oasis City? - Oasis City zbudowane zostało w miejscu złączenia się dwóch podziemnych rzek, które wypływały tam na powierzchnię i pokonywały po niej resztę drogi, do znajdującego się ponad ziemią morza. Miasto położone było w odległości niemal pięciuset mil od kolonii. Pięćset mil piaszczystymi bezdrożami, w temperaturze stu trzydziestu stopni...

- Muszą - odparł stary człowiek. - I to muszą się śpieszyć. Mężczyźni, kobiety i dzieci. Ścigają ich Kumaji.

**N**a te słowa, Steve poczuł irracjonalną nienawiść. Pomyślał, że może rozwiązaniem byłoby, gdyby znalazł paru koczowniczych tubylców i ich pozabijał. Oczywiście, tak na chłodno, zdawał sobie sprawę, że może pomogłoby to jego urażonym uczuciom, ale z pewnością nie zmieniłoby to sytuacji uciekających kolonistów, przedzierających się przez spalone słońcem dzikie pustkowia -- aby znaleźć bezpieczeństwo w Oasis City -- albo śmierć.

- Chodź - powiedział Steve, podejmując decyzję. - Unikopter może unieść na styk dwie osoby.

- Polecisz za nimi?

- Muszę. To moi rodacy. Za długo byłem poza domem.

- Powiedz mi, ty jesteś młody Cantwell, co nie? Teraz sobie ciebie przypominam.

- Tak, jestem Steve Cantwell.

- Nigdzie nie lecę, młody przyjacielu.

- Ale nie możesz zostać tutaj, bez żadnej zdatnej do picia wody, bez...

- Zostaję - oznajmił stary człowiek, nadal bez żadnego uzalania się nad sobą, a raczej rzeczowym tonem. - Ludzie z Ziemi nie mieli dla mnie miejsca, i nie mogę mieć o to do nich żalu. Sądzę, że Kumaji zabiją mnie jako renegata. Miałem dobre, długie życie. Nie mam żalu. Lecę za swoimi rodakami, młody przyjacielu. Będą potrzebować każdego dodatkowego silnego ramienia, jakie uda im się pozyskać. Czy masz jakąś broń?

- Nie - odparł Steve.

- To niedobrze. No cóż, żegnaj i życzę ci szczęścia.

- Ale nie możesz...

- Och, zostaję i już. Chcę zostać. To jest mój dom. To jedyny dom, jaki miałem w życiu. Powodzenia, młody przyjacielu.

Powoli, Steve podszedł do swojego unikoptera. To był tylko mały metalowy dysk, na którym się stało, i wał zakończony trzema turbo-płatami. Wyciągał zaledwie sześćdziesiąt mil na godzinę i mógł latać do wysokości dwóch tysięcy stóp.

**S**teve włączył turboodrzutowe silniczki niewielkiej maszyny, a następnie pod wpływem impulsu podbiegł do starego człowieka i oddał mu swoją manierkę, odwracając się, zanim tamten zdążył mu odmówić i podążając szybkim krokiem, z powrotem do unikoptera. Uniósł się w powietrze, nie oglądając się już na starego człowieka i opustoszałą wioskę.

Popłynęły za nim słowa starego człowieka:

– Powiedz ludziom... pośpiesz się... Kumaji podążają za nimi, żeby ich zabić... pustynny wiatr powinien zatrzeć ich ślady... ale pośpiesz się...

Jego głos roztopił się w lekko poświstującym szumie, gorącego pustynnego wiatru. Steve popatrzył na dół, na spieczone słońcem nagie skały, pomarszczone wydmy, mgiełkę unoszącego się pyłu. Zataczał coraz szersze kręgi, poszukując uciekających ludzi.

Kilka godzin później, w bezmiarach piasków i pustkowia, zauważył karawanę. Szybko sprowadził unikopter na dół, ze świstem powietrza i wyciem turboodrzutowych silniczków. Usiadł na piasku, w pewnej odległości przed czołem wolno poruszającej się kolumny. Przypominała widoki jakby żywcem wyjęte z ziemskiego Środkowego Wschodu -- i średniowiecza. Aby ułatwić sobie życie tutaj, na syriańskiej pustyni, ludzie zaimportowali nawet wielbłądy. Okazało się bowiem, że ziemski wielbłąd był lepszym zwierzęciem do dźwigania ładunków, niż wszystko cokolwiek mogły oferować pustynie Syriusza II. Wędrowali więc u boku wielkich, garbatych zwierząt jucznych, uginających się pod ciężarem stosów kołujących się ładunków, mieszczących cały ich dobytek. Przedzierali się przez piaski z dręczącą powolnością. Już teraz, zaledwie po jednym dniu podróży, Steve widział, że niektórzy z ludzi byli znużeni, wyczerpani i musieli jechać na grzbiecie wielbłądów. Przebyli może jakieś piętnaście mil, z niemal pięciuset, które musieli pokonać przez rozpaloną pustynię, z depczącymi im po piętach Kumaji...

– Halo! – krzyknął Steve do podchodzącego do niego, niezdarnie stąpając po piasku, człowieka uzbrojonego w atokarabin. – Nazywam się Cantwell – powiedział do niego Steve. – Jestem jednym z was.

## Johnny Mayhem

---

W twarzy zbliżającego się człowieka, widać było ponurą wrogość.

– Cantwell. Taaa, pamiętam cię. Kolonia nie była dostatecznie dobrym miejscem do życia, dla Steve’a Cantwella. O, nie. On musiał polecieć na Ziemię, żeby się uczyć. Co teraz tutaj robisz, z tym swoim fantastycznym latacłem? Przyleciałeś krakać na naszej stypie?

Gorycz zaskoczyła Steve’a. Rozpoznał zbliżającego się mężczyznę. Był to Tobias Whiting, który w czasach, kiedy Steve był chłopcem, odnosił w Kolonii największe sukcesy. Pomijając zgorzknienie, oraz ponure samoużalanie i poczucie porażki, widoczne w jego oczach, lata obeszły się z Tobiasem Whitingiem łagodnie. Prawdopodobnie miał obecnie czterdzieści parę lat, jako że był mniej więcej dwadzieścia lat starszy od Steve’a, ale był dobrze zbudowany, miał zdrowe ciało i śmiały, silny krok. Był wielkim, muskularnym mężczyzną, o kanciastej, przystojnej twarzy. Przez te ostatnie dziesięć lat, niemal w ogóle się nie zmienił, podczas gdy Steve Cantwell, chłopiec, stał się Steve Cantwellem, mężczyzną. Był oficjalnym handlarzem Kolonii z Kumaji i na tym interesie mocno się wzbogacił -- przynajmniej w kategoriach standardów Kolonii. Teraz zaś, jak uświadomił sobie Steve, to wszystko było już za nim, i mógł jedynie uciec razem z pozostałymi -- a co za tym idzie, albo wrócić na straszliwie przeludnioną Ziemię, albo udać się w poszukiwaniu jakiejś nowej kolonii, na którejś z planet zewnętrznych, jeżeli uda mu się znaleźć transport. Być może to było wyjaśnieniem jego zgorzknienia.

– A więc, wróciłeś, co? Ale sobie wybrałeś czas, Cantwell.

Uciekinierzy ciągle jeszcze byli mniej więcej jedną czwartą mili od nich, zbliżając się bardzo powoli. Wydawało się niemal, że w ogóle się nie poruszają.

– Czy moja ciotka jest zdrowa? – spytał Steve. Była ona jedyną jego rodziną, jaką znał.

Tobias Whiting powoli pokręcił głową.

– Z najwyższą przykrością muszę ci to przekazać. Przygotuj się na wstrząs. Twoja ciotka była jedną z tych osób, które ostatniej nocy zmarły po wypiciu zatrutej wody.

Przez dłuższą chwilę, Steve milczał. Jedyne co czuł, to żal -- żal dla trudnego życia, jakie miała jego ciotka i równie

ciężkiej śmierci. Smutek miał przyjść później, jeżeli w ogóle będzie czas na smutek.

---

**W** międzyczasie, dotarła do nich karawana. Pierwszą osobą, jaką zobaczył Steve, była dziewczyna. Miała na sobie podobne do całunu, pustynne ubranie, a jej twarz -- która w innych warunkach byłaby całkiem ładna, jak sobie zdał sprawę Steve -- pożłobiona była oznakami zmęczenia. Steve nie rozpoznawał jej.

- Kto to jest, tato? - spytała dziewczyna.

- Młody Cantwell. Pamiętasz go?

A więc, to była Mary Whiting. Pomyślał Steve. Jezu, przecież dziesięć lat temu, była jeszcze takim dzieciakiem! Ile mogła mieć wtedy lat? Pewnie z dziesięć. Upływ czasu nagle spoczął na nim brzemieniem. Dzisiaj była już kobietą...

- Steve Cantwell? - powiedziała Mary. - Oczywiście, że pamiętam. Cześć, Steve. Bardzo... bardzo mi przykro, że wróciłeś do nas w tak ciężkich czasach. Jeżeli jest coś, co mogłabym zrobić...

Steve pokręcił głową, a potem uściśnął dłoń, którą do niego wyciągnęła. Była szczupłą, ale silną dziewczyną, o pewnym uścisku ręki. Jej troska o niego, w takich trudnych chwilach, była trochę zadziwiająca, zwłaszcza, że była absolutnie szczerą.

Docenił to.

Tobias Whiting stwierdził:

- Najgorsze w tej sytuacji jest, że niektórzy z nas, mogliby całkiem dobrze dogadać się z Kumaji. Ja miałem tutaj niezły biznes, przecież wiesz. - Spojrzał z goryczą na grupę zakurzonych uciekinierów. - Ale nigdy nie miałem z tego dużych dochodów. Gdziekolwiek nas teraz zaniesie, ja i moja dziewczynka, znowu będziemy biedakami. A moglibyśmy być bogaci.

- A co się stało z pańskimi zyskami? - spytał go Steve.

- Związałem się z lichwiarzem Kumaji, ale dzięki temu, co się stało, pewnie nigdy go już nie zobaczę.

Mary skrzywiła się, jakby słowa jej ojca i jego uzalenie się nad samym sobą, było dla niej czymś bardzo bolesnym.



Potem podeszli inni i kilka kolejnych minut zeszło na poklepywaniu się po plecach i uściskach rąk, kiedy niektórzy z mężczyzn, znających się ze Stevem jako chłopcy, zostali przez niego rozpoznani i rozpoznawali jego. Ich powitania były równie gorące, jak Tobiasa Whitinga chłodne. Pomimo świadomości całej sytuacji, która ciążyła nad nimi wszystkimi, tego co zostało za nimi i tego co ich jeszcze czeka, poczuł się trochę, jakby wrócił do domu.

Ale Steve'owi najbardziej ze wszystkiego, przypadł do gustu, ciepły i przyjazny uśmiech Mary Whiting. Był pocieszający i uspokajający.

---

**T**rzy dni później, Tobias Whiting zniknął.

Karawana pokonywała nie więcej niż piętnaście mil dziennie. Ich zapasy wody niemal już się skończyły, ale czwartego dnia mieli nadzieję dotrzeć do oazy na pustyni. Dwoje starszych osób zmarło z trudów. Trzecia osoba, mężczyzna, była krytycznie chora, i niewiele mogli dla niej zrobić. Zaczęły kurczyć się zapasy żywności, ale zawsze mogli zarządzić swoje wielbłądy i pokonać dalszą drogę do Oasis City, do którego nadal było jeszcze jakieś czterysta kilkadziesiąt mil, wyłącznie z ubraniami, jakie mieli na grzbiecie.

I wtedy właśnie, czwartej nocy, Tobias Whiting zniknął, zabierając unikopter Steve'a. Wartownik słyszał w nocy cichy, przytłumiony jęk silniczków turbodrutowych i widział jak niewielki pojazd startuje, ale założył, że to Steve poleciał nim z jakiegoś powodu. Steve robił to codziennie, wykonując rekonesanse w poszukiwaniu śladów Kumaji.

– Ale dlaczego? – ktoś zapytał. – Dlaczego?

Początkowo na te słowa nie padła żadna odpowiedź. Potem jednak, jedna z kobiet, której mąż umarł poprzedniej nocy, oświadczyła:

– Nie jest żadną tajemnicą, że Whiting miał mnóstwo pieniędzy -- u Kumaji.

Nikt z nich, nawet nie spojrział na Mary. Stała tam, z wyzywającą miną, nic nie mówiąc i Steve ścisnął ją pokrzepiająco za dłoń.

---

## Johnny Mayhem

---

- No nie, zaraz... - powiedział jeden z przyjaciół Whitinga.

- Żadne zaraz. - To odezwał się Jeremy Gort, który dwukrotnie był burmistrzem kolonii. - Ja wiem, jak pracuje umysł Whitinga. Harował przez całe swoje życie, dla zdobycia tych pieniędzy, w taki sposób to widzi. Cantwell, czy nie mówiłeś, że Kumaji szukali karawany, żeby nas pozabijać?

- Tak mi właśnie powiedziano, panie Gort - potwierdził Steve.

- No, dobrze - Gort niemiłosiernie dalej drażył sprawę. - A więc, jak mi się wydaje, tak właśnie musiało to być. Whiting zaczął dumać nad swoją utraconą fortuną, i w końcu zdecydował, że musi ją odzyskać. W tym celu odleciał w nocy kopterem Cantwella, zdeterminowany, żeby tego dokonać. Tylko, ludzie, wbijcie sobie do głowy, że o ile znam Kumaji, to oni mu nie oddadzą pieniędzy, tak po prostu -- na piękne oczy.

- Nie? - Spytał ktoś z tłumu.

- Nie, drogi panie. Oni będą chcieli te pieniądze przehandlować. Za informację o miejscu, gdzie jesteśmy. A jeżeli Whiting odleciał w taki sposób, nie mówiąc do widzenia, nawet swojej córce, to sądzę, że jest zdecydowany przystać na tą cenę. - W jego głosie zabrzmiała spora porcja goryczy.

---

**M**ary podeszła do Gorta i uderzyła go w policzek. Starszy człowiek, nawet nie mrugnął.

- No cóż - spytał ją łagodnie, - czy twój tata powiedział ci, że leci?

- N...nie - odparła Mary. W jej oczach widać było łzy, ale nie rozplakała się.

Gort zwrócił się do Steve'a:

- Cantwell, czy on może, zalecieć tym kopterem, gdzieś daleko?

Steve pokręcił przecząco głową.

- Dziesięć, może piętnaście mil, to wszystko. Niemal nie ma już paliwa, panie Gort. Widział pan przecież, że wylatywałem nim codziennie tylko na krótkie, milowe obloty. Z pewnością za daleko nie poleci.

- Rozbije się na pustyni?

## Johnny Mayhem

---

– Rozbije się, albo będzie miał twarde lądowanie – odparł Steve.

Mary zaszlochła, ale zagryzła wargi i umilkła.

– Musimy go powstrzymać – stwierdził Gort. – I to szybko. Jeżeli dostanie się do Kumaji, wyślą za nami oddział wojowników i będziemy skończeni. Nigdy nie uda nam się ich odeprzeć, bez dodatkowej ochrony, jaką dawała nam nasza wioska. Najbliżej nas, o ile dobrze liczę, znajduje się baza Kumaji, położona pięćdziesiąt mil na północ. Whiting również o tym wie, a więc myślę, że tam właśnie się uda. Na jego poszukiwania, nie możemy poświęcić więcej niż paru ludzi, na wypadek, gdyby Kumaji nas znaleźli -- albo zostali do nas doprowadzeni -- i zaatakowali.

Steve oświadczył:

– Powinienem na noc wyjmować z koptera jakąś część, tak żeby nikt nie mógł nim wystartować. Ja pójdę.

Mary śmiało zrobiła krok naprzód.

– Ja muszę pójść. To mój ojciec. Jeżeli on gdzieś tam się rozbił, może być ranny. Być może leży... umierający.

Gort zmierzył ją wzrokiem.

– A co, jeżeli on próbuje sprzedać nas Kumaji?

– Wtedy... wtedy zrobię wszystko, o co poprosi mnie Steve. Obiecuję.

– To mi całkowicie wystarczy – powiedział Steve.

Kilka minut później, uzbrojeni w atokarabiny, ze swoimi przydziałami jedzenia i pozostałej jeszcze wody, Steve i Mary udali się przez piaski na północ, podczas gdy karawana kontynuowała marsz na wschód. Obawa przed tym, co mogli znaleźć, narastała.

---

**P**ierwszej nocy obozowali osłonięci przed wiatrem przez niskie wydmy piaskowe. Drugiej nocy znaleźli małe źródło, ze słonawą, ale nadającą się do picia wodą. Trzeciego dnia, po pokonaniu połowy odległości do osiedla Kumaji, zaczęli napotykać ich patrole, piesze albo na *thlotbackach*, sześciopalcowych pustynnych zwierzętach, biegających po piasku tak szybko i tak nisko nad jego powierzchnią, że wydawały się po nim ślizgać. Steve i Mary niemal nic do siebie nie

mówili. Rozmowy były niepotrzebne. Powoli jednak narastała między nimi więź. Steve polubił tę szczupłą, cichą dziewczynę, która wyruszyła z nim, ryzykując życie, chociaż w głębi serca musiała wiedzieć, że jej ojciec, niemal na pewno zdecydował się popełnić zdradę, w celu odzyskania swojej fortuny.

Czwartego dnia, zauważyli z daleka unikopter i wyruszyli w jego kierunku. Zaleciał znacznie dalej, niż spodziewał się Steve. Ze skurczonym sercem, uświadomił sobie, że jeśli Tobias Whiting wyszedł z awaryjnego lądowania bez większych obrażeń, to do tej pory, musiał już z pewnością dotrzeć do osiedla Kumaji.

- Nie wydaje się być za bardzo uszkodzony - zauważyła Mary.

Platforma była nieco wykrzywiona, cały kopter spoczywał przekrzywiony pod kątem, a jeden z wirników był skrzywiony i jego koniec wbił się w piach. Tobiasa Whitinga, nie było nigdzie widać.

- Nie - potwierdził Steve. - W ogóle jest tylko lekko uszkodzony. Twój ojciec z pewnością wyszedł z tego bez szwanku.

- Żeby pójść... do nich?

- Tak myślę, Mary. Nie chcę jednak ferować ostatecznego wyroku, dopóki nie będziemy pewni. Bardzo mi przykro.

- Och, Steve! Steve! Co my teraz zrobimy? Co w ogóle *możemy* zrobić.

- Musimy go znaleźć, jeżeli nie jest już za późno. Chodźmy.

- Na północ?

- Na północ.

- A jeżeli jakimś cudem uda nam się go znaleźć?

Steve nic jej nie odpowiedział. Zresztą odpowiedź -- złapać go lub zabić -- była oczywista. Ale przecież nie można tego powiedzieć córce zdrajcy, co nie?

Okazało się, że Tobiasa Whitinga udało im się odnaleźć, nie do końca dzięki własnym wysiłkom. Pół godziny po odejściu od unikoptera, zostali zauważeni przez wędrującą grupę Kumaji, którzy natychmiast rzucili się w ich kierunku na swoich *thlotach*. Mary uniosła atokarabin, ale Steve odepchnął jego lufę na bok.

## Johnny Mayhem

---

– Zabiliby nas – powiedział. – Nie mamy innego wyjścia, jak tylko się poddać.

Związano ich i pogoniono w bólach poprzez piaski. W ten sposób zostali zabrani do małego obozowiska Kumaji i wepchnięci do okrągłego namiotu.

W środku był Tobias Whiting.

---

– **M**ary! – zawołał. – Mój Boże, Mary...

– Przybyliśmy do ciebie, tato – zimno oznajmiła. – Żeby cię powstrzymać. Żeby... zabić cię, jeśli to będzie konieczne.

– Mary...

– Och, tato, dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego?

– Przecież nie moglibyśmy zaczynać wszystkiego od początku, nieprawda? Masz prawo, żeby żyć takim życiem, jakie dla ciebie planowałem. Ty...

– Whiting – powiedział Steve, – czy coś im już powiedziałaś?

– Nie. Jeszcze nie. Pewnie, że mam informacje na sprzedaż. Ale chcę się upewnić, że przekazuję je odpowiednim ludziom. Chcę odzyskać nasze...

– Tato! Nasze pieniądze, za wszystkie te życia ludzkie?

– Teraz, to już nie ma znaczenia. Ja... zmieniłem zdanie, Mary. Naprawdę. Ale w tej sytuacji, kiedy ty jesteś ich więźniem, co się stanie jeżeli nie będę mówił? Czy nie rozumiesz, że oni zaczną cię torturować? Zmuszą cię do mówienia. A w ten sposób, niczego nie dostaniemy. Nie mógłbym wytrzymać patrząc, jak oni cię krzywdzą.

– Oni mogą sobie robić wszystko co tylko chcą. I tak im niczego nie powiem.

– Nie będziesz musiała – powiedział Whiting. – Ja im powiem wszystko, kiedy tylko dotrzemy do większej osady. Mówili mi, że zabiorą nas tam jutro.

– A więc, musimy uciec dzisiejszej nocy – stwierdził Steve.

Nisko wiszące słońce, rzucało cień strażnika, na skórę *thlota*, stanowiącą ścianę ich namiotu. Pilnował ich tylko jeden człowiek, uzbrojony w długą, podobną do piki broń.

Kiedy nadejdzie mrok, jeżeli ich strażę nie zostaną wzmocnione...

Na kolację przyniesiono im ziemistą breję, którą wmusili w siebie w milczeniu i z dużym wysiłkiem. Zjedli ją, ponieważ wiedzieli, że będą potrzebowali sił. Mary próbowała ponownie przekonać ojca:

– Tato, nie chcę, żebyś im cokolwiek mówił. Tato, proszę. Jeżeli myślisz, że robisz to dla mnie...

– Podjąłem już decyzję – odparł Tobias Whiting.

Zrozpaczona Mary zwróciła się do Steve'a.

– Steve – prosiła go. – Steve. Zrób to, co musisz zrobić. Ja... ja to zrozumieję.

Steve nic jej nie odpowiedział. Czy Whiting w tej sytuacji nie miał racji? pomyślał sobie. Jeżeli Steve go uciszy, czy Kumaji nie będą ich torturować dla zdobycia informacji? Być może Steve byłby w stanie to wytrzymać... ale z pewnością nie wytrzyma widoku krzywdzonej Mary. Jeżeli to zrobią, będzie mówił...

A więc, uciszenie Whitinga, nie było rozwiązaniem. Ale Kumaji mają jednego dobrowolnego i dwójkę niechętnych więźniów. Dobrze o tym wiedzieli. Jeżeli ten dobrowolny zawoła o pomoc, ale to wołanie zostanie ograniczone do minimum, to w odpowiedzi na nie, pojawi się tylko jeden wartownik, ten człowiek pod namiotem...

---

### Ciemność w obozowisku Kumaji.

W oddali, jakiś tubylec skandował, monotonnym zaśpiewem, starym jak sama pustynia.

– Czy śpisz? – spytała Mary.

– Nie – odpowiedział jej Steve.

– Tata śpi. Posłuchaj, w jaki sposób oddycha -- jak dziecko. Tak jakby... jakby nie miał zamiaru zdradzić wszystkich naszych sąsiadów. Och, nienawidzę go, nienawidzę!

Steve podczołgał się do miejsca, w którym spał starszy mężczyzna. Głos Tobiasa Whitinga, go zupełnie zaskoczył.

– Nie śpię. Myślałem. Ja...

## Johnny Mayhem

---

– Mam zamiar teraz cię zabić – powiedział przyciszonym głosem Steve i skoczył na Whitinga. Zrobił to jednak po krótkiej przerwie. Było to skalkulowane opóźnienie i Whiting krzyknął, tak jak Steve miał nadzieję, że zrobi. Potem jego palce odnalazły gardło starszego mężczyzny i zacisnęły się na nim -- nie żeby go zabić, ale by go powstrzymać od ponownego krzyku.

Zaszurał piasek, kłapa namiotu uniosła się i do środka wbiegła potężna postać. Steve zerwał się na nogi i wyskoczył jej naprzeciw, czując wstrząs zderzenia ich ciał. Pika uniosła się ledwie widoczna w ciemności, a jej ostrze przejechało mu po żebrach, kiedy wartownik niezgrabnie nią pchnął. Palce Steve'a szukały grubo umięśnionej szyi, schwyciły ją -- zaciskając się mocno.

Strażnik skręcał się i szarpał. Jego stopy kopały w piasku. Jedną ręką, dźgał na oślep, nieporęczną piką. Rozległ się krzyk Mary, a strażnikowi udało się wydać tylko przyciszone skrzeczące sapnięcie. Na zewnątrz, reszta obozowiska zdawała się być nieświadoma tego, co się dzieje. Silnie zaciskające się palce Steve'a, niosły śmierć. Ktoś musiał tutaj umrzeć. Albo strażnik Kumaji, albo uciekający Ziemianie, którzy utracili właśnie swoją kolonię i musieli szukać innej.

---

**U**padli razem na piasek, strażnik nadal jeszcze walczył. Steve nie mógł puścić jego gardła, żeby złapać za pikę. Duszący się strażnik dźgał nią beładnie, zupełnie na ślepo, kopiąc nogami w piasku. W pewnej chwili Tobias Whiting zaczął jęczeć, ale Steve w ferworze walki ledwie słyszał jego głos.

Kiedy nogi strażnika przestały kopać, Steve go puścił. Mężczyzna był albo martwy, albo tak bliski śmierci, że nie będzie w stanie wydostać się z namiotu, przez parę godzin. Steve nigdy jeszcze nie zabił człowieka. Po raz pierwszy w życiu musiał użyć przemocy żeby tak brutalnie zaatakować człowieka i go zabić.

– Steve!

To Mary, wykrzyczała szeptem jego imię i płakała.

## Johnny Mayhem

---

– Tata. Tata został... trafiony. Pika, silne pchnięcie. Paskudnie dostał...

Steve podczołgał się do nich. Było bardzo ciemno. Z trudem mógł dostrzec wykrzywioną przez ból twarz Tobiasa Whitinga.

– Mój brzuch – wysapał Whiting, ciężko łapiąc oddech. – Boli...

Steve zaczął macać go rękoma, znalazł ranę. Mocno krwawiła. Nie był w stanie zatamować krwawienia, i dobrze to wiedział. Myślał, że Whiting również zdawał sobie z tego sprawę. Dotknął dłoni Mary i przytrzymał ją za nią. Mary szlochała przyciszonym głosem, oparta o jego ramię.

– Wy dwoje... – Whiting złapał oddech, – Wy dwoje... Mary, posłuchaj. Czy... on... jest tym, czego chcesz?

– Tak, tato. O, tak!

– Dasz radę ją stąd wydostać, Cantwell?

– Myślę, że tak – odparł Steve.

– A więc uciekajcie. Uciekajcie, dopóki jeszcze możecie. Ja im powiem... jedźcie na południe. Ziemianie kierują się na południe. Oni wyruszą za nimi... na południe. Nie znajdują karawany. Wszyscy... bezpiecznie... uciekniecie. Jeżeli to jest... czego pragniesz, Mary.

Odsunęła się od Steve'a, całując ojca. Spytała Steve'a:

– Czy jest coś, co możemy dla niego zrobić?

Steve pokręcił przecząco głową i dodał:

– Ale musi przeżyć na tyle długo, żeby im to powiedzieć, żeby ich oszukać.

– Wytrzymam wystarczająco długo – powiedział Whiting i Steve wiedział, że tak będzie. – Życzenia szczęścia dla... was wszystkich. Od... bardzo głupiego... człowieka...

---

**S**teve złapał Mary za rękę i pociągnął ją za sobą w gorącą, ciemną, wietrzną noc. Zabrał pikę zabitego Kumaji, i przemknęli się razem po piasku, do miejsca gdzie zapędzano na noc *thloty*. Niewiele pamiętał z reszty tej nocy. Nadal wypełniała ją przemoc i śmierć, ale śmierć niezbędna. Zabił piką wartownika i rozpętał jednego z *thlotów*. Zwierzę głośno zaskrzeczało i z nocnego mroku pojawiło się dwóch



## Johnny Mayhem

---

zaspanych Kumaji, którzy przyszli zobaczyć, co się stało. Długim ostrzem piki ściał jednemu z nich głowę. Drugiego uderzył rękojeścią broni w twarz, prawdopodobnie łamiąc mu szczękę. Cały obóz ogarnęło zamieszanie. W ciemnościach wrzucił Mary na nagi grzbiet, stojącego przed nim *thlota*, i odjechali nim przez piaski.

Pościg był zdezorganizowany i skończył się niepowodzeniem. Było za ciemno na skuteczną pogoń, zresztą dokładnie tak jak miał nadzieję Steve. Jechali szybko przez całą noc i kontynuowali jazdę świtem. Mogli odjechać w dowolnym kierunku. Niesiony przez wiatr piasek, powinien zatrzeć ich ślady.

Dwa dni później dotarli już w pobliże karawany. W trakcie jazdy, Mary spytała go:

– Steve, czy musisz im o wszystkim powiedzieć?

– Możemy im powiedzieć tak – odparł Steve. – Twój ojciec zginął śmiercią bohatera, wysyłając Kumaji w złym kierunku.

– A nie... nie to co z początku planował?

– Nie. Powiemy im, że przez cały czas miał szlachetne zamiary. Przecież człowiek może się pomylić, co nie?

– Kocham cię, Steve. Kocham cię.

Potem wjechali do obozowiska karawany. Jakoś, Steve był pewien, że bezpiecznie dotrą do Oasis City.

Z Mary u boku, mógł sobie znaleźć jakąś nową planetę w bezmiarach kosmosu.

KONIEC

Darius John Granger  
(Stephen Marlowe – Milton Lesser<sup>1</sup>)

# **Planeta nazywana Purpurą**

(A World Called Crimson)

Wrzesień 1956

---

<sup>1</sup> Autorem opowiadania jest Stephen Marlowe, autor który w światku SF najbardziej znany jest pod jednym ze swoich pseudonimów literackich Milton Lesser.

*Był sobie chłopiec i dziewczynka, oraz dziwna nowa planeta. Planeta rojąca się od paskudnych niebezpieczeństwa. Ale chłopiec i dziewczynka byli bardzo mali, a wszystko co chciała wiedzieć Robin, to tylko: „Kto ukradł moją lalkę?”*

*Kiedy w 2278 roku n.e. statek międzygwiazdny Star of Fire zderzył się z rojem meteorów, sześć parseków w kierunku północy gwiazdnej od ośrodka galaktyki, utracił swoją atmosferę w ciągu czterdziestu pięciu minut. Początkowo sądzono, że wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci spośród czterech tysięcy stu sześćdziesięciu sześciu obecnych na pokładzie, zginęli w tej największej ze wszystkich katastrof międzygwiazdnych. Ale jak to zostało wykryte dwadzieścia lat później przez wyprawę Purcella, nie do końca było to prawdą (Patrz PURCELL).*

– z Annałów Kosmosu, t. 12

**T**o ten paskudny mały chłopak, z pokładu B, ukradł jej lalkę. Nienawidziła go za to. Był po prostu okropny. Wyślizgnęła się ze swojej kabiny, kiedy Mama i Tata przebierali się do kolacji. Chciała znaleźć tego okropnego małego chłopaka na pokładzie B. Najchętniej wydrapałaby mu oczy.

Nazywała się Robin Sinclair i miała pięć lat. Była dostatecznie mocno rozgniewana, żeby wyrzucić tego chłopaka z pokładu B za burtę statku, prosto w kosmos. Tyle że nie za bardzo wiedziała, jak się za to zabrać.

Pokonała zejściówkę i znalazła się na pokładzie B. Ludzie tam ubierali się zupełnie inaczej. Jakoś, kolory nie były równie jasne ani ubrania takie ładne. W oczach pięcioletniej dziewczynki, była to najważniejsza różnica, zwłaszcza dla niej, która lubiła wodzić palcami po pięknych syntetykach, i

która miała nawet swój ulubiony kolor. Jej ulubionym kolorem był purpurowy.

– Praszam pana. Widział pan małego chłopaka z lalką w purpurowej sukience?

Uśmiechnął się. Ale ona była śmiertelnie poważna.

– Ja jej naprawdę nie mam, młoda damo.

Przez chwilę kręciła się bez celu po pokładzie B. Widziała dwóch małych chłopców, ale to nie byli ci właściwi. Teraz, wydymając wargi, niemal we łzach, była na skraju poddania się. Mama i Tata, mogą jej kupić nową lalkę. Mama i Tata, byli chyba bogatsi od wszystkich innych, co nie?

W tym momencie, zupełnie nagle, zauważyła go. Właśnie zniknął jej z zasięgu wzroku, niemal tuż przed nosem. Pod ręką trzymał lalkę w purpurowej sukience, jej ulubioną lalkę.

– Hej! – zawołała. – Hej ty, zaczekaj na mnie!

Jej małe stopy zadudniły po schodach, kiedy pogoniła z powrotem zejściówką. Gdy dobiegła do opalizujących drzwi w grodzi, otworzył je dla niej elektryczny automat. Nigdy jeszcze nie przechodziła tą drogą. Nie była tak jasna i czysta, jak reszta statku. W ogóle nie zauważyła znaku, oznajmiającego: PASAŻEROM WEJŚCIE WZBRONIONE. A w każdym razie, nawet gdyby, to ledwie umiała czytać.

Gdzieś z przodu, po raz kolejny, mignęła jej postać chłopca, i ruszyła za nim, akurat w chwili, kiedy zniknął za zakrętem korytarza. Krzycząc, żeby się zatrzymał, dobiegła do zakrętu i znowu zobaczyła go nieco dalej, przed sobą. Odwrócił do tyłu głowę, pokazał jej język i uciekał dalej.

---

**I** właśnie wtedy cały świat zadrżał szaleńczo się, tak jakby miał zamiar rozpaść się na drobne kawałki.

Wszędzie dookoła rozdźwięczały się dzwonki alarmowe. Ostro świstały gwizdki. Po paru chwilach, we wszystkich kierunkach zaczęli biegać umundurowani ludzie. Robin Sinclair, nagle poczuła, że jest bardzo wystraszona. Chciała wracać na pokład A, do swojej Mamy i Taty, ale kiedy biegła śladem chłopca, ten skręcał wiele razy, zmieniając korytarze. Teraz była przekonana, że gdyby spróbowała wycofać się tą samą drogą, tylko by się zupełnie zgubiła. Popatrzyła przed

siebie. Chłopiec wydawał się być pewien, że porusza się dobrą drogą. Ruszyła więc za nim. Ale teraz była już naprawdę na niego wściekła. To była jego wina, że znalazła się daleko od Mamy i Taty, kiedy zdarzyła się taka straszna rzecz.

---

**U**mundurowani marynarze, przez cały czas biegali dookoła. Słyszała urywki rozmów, z których niewiele rozumiała.

– Próbują to jakoś załatać...

– Cała rufowa część statku. Szybko tracimy powietrze...

– Szalupy ratunkowe. Byłem tam dosłownie przed chwilą. Wszystkie, co do ostatniej. Zniknęły. Meteor wyrzucił je prosto w kosmos.

– Jeżeli nie będziemy w stanie naprawić uszkodzeń...

I, w końcu, jeden z ludzi, z taką twarzą, że aż budziła strach.

– Łaty nie wytrzymają. Tracimy powietrze szybciej, niż możemy je zastępować. Lepiej zawiadomcie kapitana.

Wkrótce pojawił się pośpiesznie, jakiś pan, obwieszony mnóstwem złotych łańcuchów. Wyglądał szalenie dystyngowanie, ale był stary. O Boże, on musi być naprawdę stary, pomyślała sobie Robin. Wyglądał na równie starego, co jej dziadek.

– Panie kapitanie! Tracimy za dużo powietrza. Nie jesteśmy w stanie go zastępować.

– A więc, proszę przygotować się do ewakuacji statku.

– Ależ, sir, wszystkie szalupy zostały zniszczone!

– Nie ma szalup? Nie ma szalup!

W tym momencie, chłopak ponownie wyciągnął język. Pobiegła za nim, wygrażając mu małą piąstką. Byli kompletnie zaabsorbowani swoją prywatną wojną, podczas gdy wszędzie dookoła rozchodziły się wieści, że sytuacja jest beznadziejna i niemal pięć tysięcy ludzi przygotowywało się na śmierć.

– Mam cię, w końcu!

Po kolejnym skręcie, natknął się na litą ścianę. Podchodziła do niego, wyciągając ręce w stronę lalki w

## Johnny Mayhem

---

purpurowej sukience. Schował ją za plecami. Sięgnęła wokół niego rękoma, żeby jej dosięgnąć, ale on ją mocno odepchnął i upadła.

– Przyłożę ci – zagroziła, wstając i ponownie pędząc do niego. Nagle pojawiły się nad nią czyjeś dorosłe ramiona i chwyciły ją dorosłe dłonie.

– A więc, mała panienko – stwierdził jakiś głos. – Dlaczego nie jesteście ze swoimi rodzinami? W takiej chwili, powinniście być ze swoimi rodzinami. Gdzie to jest, pokład B?

– Pokład A – wyniosłe oznajmiła Robin. – On jest z B. Dlaczego wszyscy dookoła tak biegają?

Był to wysoki, cienki jak patyk mężczyzna, z uprzejmie wyglądającą twarzą.

– Zaraz, zaraz – powiedział nagle, wyglądając na zmieszanego. – Przez cały czas mówili, że jestem świrem, ponieważ buduję tę cholerną rzecz. No cóż, pewnie ja się do niej nie zmieszczę, ale być może te dzieciaki wejdą.

Złapał jedną ręką Robin, a drugą chwycił chłopca.

– Chcę moją lalkę! – krzyknęła Robin, ale chłopiec wyciągnął rękę z nią, w drugą stronę.

– Teraz możecie się już uspokoić – oznajmił mężczyzna. – Tylko spokojnie. Ja się wami zajmę.

---

**P**obiegł razem z nimi, do jednego z doków remontowych, wielkiego, skazanego na zagładę statku. W rogu, za stołem obecnie już bezużytecznego, sprzętu do łatania, znajdował się stół. Na stole stał model *Star of Fire*. Miał sześć stóp długości i był absolutnie wierny z zewnątrz, co do ostatniego szczegółu. Jego twórca, nie doszedł jeszcze do odtworzenia wnętrza. W środku był zupełnie pusty. Miał jednak rakiety i wszystko co trzeba. Nie było powodu, aby nie zniósł lotu w kosmosie. Mógł nawet utrzymać w środku powietrze.

– Wchodźcie do środka – polecił mężczyzna.

Mały chłopiec nagle poczuł strach.

– Ja chcę do mamy – powiedział. – Chcę do taty.

– Wchodź do środka.

Robin poczuła się lepsza i wcisnęła się do środka tego czegoś. Było tam zupełnie ciemno. Obróciła się i o coś

walnęła. Obróciła się nieco mocniej i zderzyła się małym chłopcem z pokładu B.

- Jak się stąd wydostać? – spytała go.
- Nie mam pojęcia – odpowiedział.
- Chcę dostać moją lalkę – zażądała.
- Tak?
- Lepiej oddaj mi ją, natychmiast.

Nic nie odpowiedział. Z zewnątrz dobiegł jakiś syczący odgłos, a potem lekki ryk. Gdzieś dalej, coś rozsunęło się z łomotem.

- Miłej podróży, maluchy! – zahuczał głos.

W jednej chwili, coś jakby usiadło jej na klatce piersiowej, wyciskając całe powietrze z płuc. To był wielki ciężar, przytrzymujący ją, tak by nie mogła się nawet ruszyć. Chciała krzyczeć, ale nie mogła wydobyć z ust żadnego dźwięku. Chciała, żeby była tutaj jej mama. Mama z pewnością wiedziałaby, co robić.

Czuła się zmiądzona i wciśnięta w tunel czerni.

Trzydzieści minut później, statek międzygwiazdny *Star of Fire*, kierujący się do zewnętrznych światów, z Sol do skupisk gwiazdnych za Wężownikami, stracił resztkę pozostałego powietrza. Stał się olbrzymią trumną, bez końca obracającą się bezwładnie w kosmosie, skąpaną w jaskrawym blasku światła gwiazd, pobliza środka galaktyki.

Niewielki statek kosmiczny, mały model ogromnego liniowca, pędził przed siebie. Jeżeli będzie tak leciał dłużej niż dwa dni, nie znajdując żadnej planety, dwójka jego pasażerów zginie, po wyczerpaniu się niewielkiego zapasu tlenu. Jeżeli znajdzie planetę, zacznie wokół niej krążyć, a następnie wyląduje automatycznie. Możliwość taka nie była wielka, ale też nie zupełnie znikoma. W tym regionie, bowiem, w pobliżu centrum galaktyki, odległości między gwiazdami, stają się niemal planetarne, a większość gwiazd posiada towarzyszące im planety. Ale nawet pomimo tego, mogła to być planeta niezdolna do utrzymania ich przy życiu...

Pędzili dalej, w zupełnej nieświadomości. Ona miała pięć lat. On sześć. Nazywał się Charlie Fullerton. Zabrał jej lalkę. Nienawidziła go.

**D**wie godziny po tym, jak niewielki model statku kosmicznego, wylądował na planecie z trzema słońcami na niebie, Robin Sinclair obudziła się. Czuła się rozbita i stłamszona. Dobrą chwilę zajęło jej, zanim doszła do siebie. Wcześniej miała coś w rodzaju snu. Ten sen był zresztą całkiem fajny. Mama mówiła, że sny nie są prawdziwe. Ale ten, dla niej, z pewnością był wystarczająco prawdziwy.

Uniosła się i przeciągnęła, rozpościerając ręce. Cały fragment niewielkiego statku kosmicznego odskoczył pod dotknięciem jej ręki, wpuszczając do środka oślepiające światło słoneczne. Leżała z mocno zaciśniętymi powiekami, ale już po chwili modła widzieć. Chłopiec nadal spał. Ciągle go nienawidziła. Spał z jej lalką w ramionach. Wyciągnęła mu lalkę, a on poruszył rękoma i obudził się. Wyskoczyła z lalką, z otwartego statku kosmicznego, i zaczęła uciekać.

Biegła wzdłuż plaży. Ale piasek był zielony. Ocean syczał i huczał, a dookoła nie było widać nikogo innego.

– Tapiesz, tapiesz, a ty mnie nie złapiesz! – krzyczała na cały głos podczas biegu. W końcu upadła na piasek.

Dopadł do niej, upadł na nią i zaczęli się siłować o lalkę. W pobliżu zahuczał przyływ. Fala pływowa, zachowująca się kapryśnie w uścisku trzech słońc, niespodziewanie urosła koło nich, zalewając ich fontanną zimnej wody. Kaszłąc, plując i krztusząc się, wycofali się dalej, w głąb plaży.

Po chwili przestali.

– Jestem zupełnie mokra – stwierdziła Robin.

– Mam na imię Charlie – odparł z ponurą miną. – Lepiej już wracajmy.

– Jak wrócimy? – chciała wiedzieć Robin.

– To bardzo ładna lalka – wymijająco powiedział Charlie.

– Zabrałeś mi ją! – stwierdziła oskarżycielsko.

– Aj, tam. Chciałem ją tylko obejrzeć.

– Ona ma purpurową sukienkę i wszystko inne.

– To jest jakiś świat – po chwili powiedział Charlie.

– Co to jest, świat?

– Och, świat to -- przecież wiesz -- wszystko.

– Och.

– Myślisz, że tutaj są Indianie?



Po chwili odparła:

- W każdym razie, powinni tutaj być.
- A piraci też? – spytał głosem pełnym obawy.

Przytaknęła głową, bardzo poważnie.

- Lubię piratów – oznajmiła. – Oni są tacy przerażający.

Dokładnie wtedy, w oddali, na wodzie pojawił się statek. Miał czarny kadłub i olbrzymie żagle. Na przednim żaglu wymalowana była wielka czarna czaszka.

- Lepiej się stąd zabierajmy! – zawołał zaalarmowanym tonem Charlie. Ale na końcu plaży wznosiły się pionowe ściany skalne, i chociaż biegli szaleńczo wzdłuż krawędzi zielonego piasku, nie mogli znaleźć żadnej drogi, pozwalającej pokonać skały. Statek piracki podpływał coraz bliżej i bliżej.

Przycupnęli jak mysz pod miotłą u podstawy skał i siedzieli zupełnie nieruchomo. Po dosyć długim oczekiwaniu, statek piracki podszedł blisko brzegu. Wysłano z niego długą łódź, której wiosła pobłyskiwały w świetle trzech słońc, jak gigantyczne nogi, na których łódź wędrowała przez fale w stronę plaży.

Po chwili piraci znaleźli się już na brzegu. Mężczyzna, który ich prowadził, miał tylko jedną nogę i protezę wystruganą z drewna. Wyglądał na bardzo złego.

---

- **T**o pirat, Czarnobrody! – powiedział Charlie wystraszonym szeptem. Tata kiedyś czytał mu opowiadanie o Czarnobrodym.

Piratowi z drewnianą nogą, nagle wyrosła czarna broda.

- Lalka! – zawołała Robin.

- O co ci chodzi?

- Zostawiliśmy ją tam. Purpurę. – Nazwała lalkę Purpurą, ponieważ miała purpurową sukienkę.

Czarnobrody, razem ze swoją załogą, podchodził właśnie do małego statku kosmicznego. Zebrali się wokół niego, przyglądając się pojazdowi, ze zmarszczonymi brwiami. Robin obserwowała wszystko z bladą twarzą i szeroko otwartymi oczyma. Purpura leżała niedaleko, na piasku. Musieli ją od razu zobaczyć. Jeszcze nawet kiedy przez głowę

## Johnny Mayhem

---

przechodziła jej ta straszliwa myśl, jeden z piratów zauważył leżącą na piasku Purpurę i podniósł ją. Czarnobrody podszedł do niego, wziął lalkę i przyglądał jej się uważnie. W tym właśnie momencie, gdzieś ze szczytów klifów, rozległ się krzyk i nagle jednego z piratów przeszły strzała. Upadł na piasek, wijąc się z bólu, a reszta ludzi pośpieszyła z powrotem do łodzi.

– Indianie – z przekonaniem wyszeptał Charlie.

Indianie pokrzykiwali i wrzeszczeli.

– Czy są gdzieś tutaj jacyś kowboje? – spytała z nadzieją Robin.

– Nie, sir. Żadnych kowbojów – stwierdził bardzo zdecydowanie Charlie.

– Jestem głodna – oznajmiła Robin. – Szkoda, że nie mamy nic do jedzenia.

Z lekkim piskiem zachwytu, spojrzała w dół, tuż pod nogi.

Dwa talerze ze smażonym kurczakiem, ze wszystkimi dodatkami. Jej ulubione danie. Jedli łapczywie, nie słysząc już żadnych Indian. Przyglądali się jak łódź wraca na piracki statek. Przez cały czas mogli dojrzeć malutką sukienkę Purpury, ponieważ Czarnobrody zabrał lalkę ze sobą na pokład. Robin dokończyła smażonego kurczaka i zaczęła płakać.

– Dziewczyny – z niesmakiem stwierdził Charles.

– Nic na to nie poradzę. Biedna Purpura.

– Czy ona umarła?

– Pirat Czarnobrody ją zabrał.

– Charles, to było imię mojego dziadka. Mój dziadek umarł i dali mi na imię Charles.

– Chcę Purpurę!

– Uspokój się! Indianie cię zobaczą.

– Indianie sobie poszli. Chcę Purpurę!

– Moglibyśmy tę plażę nazwać po Purpurze.

– Aj tam, co ty nie powiesz? To jest tylko plaża.

– Moglibyśmy tak nazwać, cały ten wielki świat. – Charlie wskazał ekspansywnie gestem dookoła.

Zielony piasek na plaży, stał się purpurowy. Niebo pokryło się purpurową poświatą.

## Johnny Mayhem

---

- Na pewno, to bardzo zabawna planeta - powiedział Charlie. Głośny jak grzmot śmiech, zahuczał po niebie. - Planeta zwana Purpurą - dodał.

---

**R**ozpoczął się przyływ. Nadbrzeżne fale rozprysły się na skałach i zmoczył ich zimny prysznic.

- Lepiej znajdziemy drogę wyżej, na górkę - zaproponowała Robin. Przez górkę rozumiała pionowe skały, rozpościerające się za ich plecami.

Przyływ z hukiem wdzierał się coraz dalej. Byli już całkowicie przemoknięci. Przywarli do skalnej ściany.

- Potrzebujemy windy, albo czegoś podobnego - zauważył Charlie.

W świetle słońca rozbłysły złote liny. Na dół zjechała połączana klatka windy. Ruszyli nią do góry, tuż przed tym, zanim nadeszła wielka fala i z całej siły uderzyła w skały. Winda wjeżdżała coraz wyżej, zmierzając ku szczytowi skalnej ściany. Z góry widzieli ponad wodą, na znaczną odległość. Obserwowali odpływający coraz dalej statek piracki, z czarną jak noc czaszką na żaglach.

Zatrzymali się na szczycie klifu i wyszli z windy. Nigdzie nie było widać Indian, ale znaleźli popiół z ogniska obozowego.

- Czy są tutaj jakieś lwy, tygrysy i wszystko inne? - spytała zdumiona Robin, wodząc wzrokiem po plaży i morzu, a następnie odwracając się do tyłu, żeby obejrzeć zielony las, rozpoczynający się w odległości pięćdziesięciu jardów od krawędzi klifu.

- Lwy i tygrysy są tu na pewno - rzeczowym tonem odparł Charlie.

---

**G**dzieś daleko w lesie zaryczał wielki kot. Robin pisnęła cichutko.

- Ja t...tylko się wygłupiałem - powiedział Charlie, niejasno sobie uświadamiając, że na tej planecie, nazywanej Purpurą, w jakiś sposób, mógł sprawić, że coś się wydarzy.

## Johnny Mayhem

---

Jednak pojął również i lekcję, którą odebrał tej nocy. Mógł na Purpurze sprawić, że coś się wydarzy, ale nie potrafił tego odwołać.

Tygrys ponownie zaryczał. Na szczęście znajdowali się od niego po zawietrznej, i poszedł sobie szukać zdobyczy gdzie indziej. W objęciach zimnej nocy, dwójka przytulonych do siebie dzieci, zasnęła niespokojnym snem koło żaru obozowych ognisk Indian.

W końcu, po pewnym czasie, trzy słońca weszły w trzech różnych miejscach na horyzoncie. Purpura była może śmiertelnie niebezpieczna, ale była również naprawdę piękna...

---

*Aczkolwiek zasługę odkrycia Planety Aladyna, przypisuje się badaczowi z Ziemi, Richardowi Purcellowi, tak naprawdę to dwójka ziemskich dzieci, które się na niej rozbiły, pojawiła się tam dwadzieścia lat przed ekspedycją Purcella. Jednak zamiast utorować drogę Purcellowi, uczyniły one badania planety, jeszcze bardziej skomplikowanymi. Można powiedzieć, że wydarzenie to było pozytywnie skorelowane z niebezpieczeństwem. Ponieważ Planeta Aladyna, stała się galaktycznym rogiem obfitości, była ona naprawdę warta wysiłków włożonych przez Purcella. Jak w dzisiejszej 24 wiecznej utopii dobrobytu, wie każdy uczeń, Planeta Aladyna, znajduje się niemal dokładnie w sercu galaktyki, w miejscu, w którym materia tworzona jest spontanicznie, aby pomknąć długimi kosmicznymi szlakami, ciągnącymi się przez całą galaktykę. Jest to miejsce nie tylko spontanicznej kreacji materii, ale również spontanicznie uformowanej kreacji, w której psychika każdego człowieka pełni funkcję Boga. Planeta o wielkim znacze...*

– z Annałów Kosmosu, t. 2

**S**tała w dumnej pozie na samej krawędzi skały, aby uwiecznić tę chwilę chwały. Brązy i różowości jej skóry, ciągle jeszcze pokrytej kropelkami wody, pozostałymi po ostatnim skoku, błyszcząły w słońcu. Potem, z absolutną gracją każdej linii swojego gibkiego ciała, poleciała ze skały w perfekcyjnie wykonanym skoku.

Charlie pomógł jej wyjść z wody, uśmiechając się.

– To było niezłe – przyznał.

– Cóż, to ty mnie tego nauczyłeś.

Jej figura nie stała się może jeszcze w pełni kobieca, ale była znacznie bujniejsza, niż zazwyczaj u dziewcząt. Robin była niesamowicie piękna, a Charlie doskonale o tym wiedział, chociaż nie miał żadnych standardów porównawczych, które pomogłyby mu w ocenie, poza indiańskimi kobietami, jakie od czasu do czasu mógł zobaczyć, albo niewolnicami Czarnobrodego, kiedy statek piratów przypląwał, aby pohandlować.

Nieświadoma swojej urody Robin, wciągnęła na siebie szorty ze złotej siateczki. Charlie pomógł jej zapiąć na plecach biustonosz ze złotej siateczki. Dawno, dawno temu – to wydawało się być niemal nierealnym snem – kiedy był malutkim chłopcem, jego matka wzięła go na show, na którym wszyscy tańczyli i śpiewali ubrani w kostiumy, ze złotej siateczki. Nigdy tego nie zapomniał, no i teraz cała ich odzież zrobiona była ze złotej siateczki.

---

**R**obin odwróciła się do tyłu i popatrzyła na niego. Płowe, jasne włosy opadały jej niemal do talii i właśnie pomagał jej je rozczesać, inkrustowanym klejnotami grzebieniem, który powołał swoim życzeniem do istnienia, parę dni wcześniej.

– Jak ja uwielbiam Purpurę! – zawołała impulsywnie.

Charlie uśmiechnął się.

– To dosyć zabawne stwierdzenie. Czy istnieją jeszcze jakieś inne miejsca?

– Chciałeś powiedzieć, poza Purpurą?

– Tak.

– Nie wiem. To śmieszne. Czasami, wydaje mi się...

Charlie uśmiechnął się do niej w odpowiedzi, nieco pobłażliwie.

- Och, to znowu ta książka, co nie?

- No dobrze. To znowu ta książka. Przestań się ze mnie naśmiewać.

Wiele lat temu, kiedy byli jeszcze dziećmi, wrócili do rozbitego statku kosmicznego, którym dostali się na Purpurę. Był niemal zupełnie pusty, poza jedną książką. Tak jakby ta książka, została tam włożona specjalnie dla nich, przez jakąś siłę wyższą, która umieściła ich w statku kosmicznym. Naturalnie, nie byli w stanie jej przeczytać, ale i tak książkę sobie zachowali. Potem, pewnego dnia, kilka lat później, Robin zażyczyła sobie, umiejętności czytania. Następnym razem, kiedy wzięła książkę i ją otworzyła, magia słów ujawniła się przed nią w cudowny sposób. Książka była zatytułowana JEDNOTOMOWY ZARYS ENCYKLOPEDYCZNY HISTORII i mówiła po prostu o wszystkim -- poza Purpurą. Nie było nawet najmniejszej wzmianki o Purpurze. Robin czytała książkę na okrągło, aż każde słowo nieomal zapadło jej w serce. Nawet Charlie wysłuchał jej dwukrotnie, przechodząc po kolei przez całą zawartość, którą mu przeczytała, ale nigdy nie zażyczył sobie umiejętności czytania, dla siebie samego.

Teraz Charlie spytał:

- Czy naprawdę wierzysz w to, co jest w tej książce? Jesteśmy na Purpurze. I to jest rzeczywistość.

- Nie wiem. Czasami wydaje mi się, że to nie jest aż tak rzeczywiste, jak wszystko, co jest w tej książce. A czasami, po prostu nie wiem, co myśleć.

W milczeniu poszli do swojej windy i wjechali na szczyt najwyższego klifu. Zażyczyli sobie tam domu, podobnego do jednego z tych, które Robin zobaczyła w książce. Zażyczyli sobie wielu rzeczy, które czyniły ich życie bardziej interesującym lub przyjemnym. Zaludnili Purpurę owocami swoich życzeń, wykorzystując JEDNOTOMOWY ZARYS ENCYKLOPEDYCZNY HISTORII jako przewodnik.

---

**M**ieszkali jakąś milę od Obozu Indian. Handlowali z Indianami, którzy, dziwne, nie wiedzieli jak życzyć sobie nowych rzeczy. Tak samo nie potrafili tego piraci, ani nikt inny. Tylko Robin i Charlie. Piraci mieszkali za morzem, na wyspie. Na południe, wzdłuż wybrzeża żyli Fenicjanie, Grecy, Majowie, marynarze Royal Navy, Podwodniacy, syreny i Cyklopi. Wybrzeża na północ, zajmowali Polinezyjczycy, Maorysi, Panamczycy i Holendrzy. W głębi lądu znaleźć można było Kanibali, Lotofagów, parę osiedli kowbojów, tak aby uczynić życie Indian, nieco bardziej interesującym, farmerów, Rosjan, Kongresmenów i Ministrów. Wszyscy oni zostali stworzeni przez Robin i Charliego, którzy czasami ich odwiedzali. Nigdy, nawet przez chwilę, nie wierzyli, że naprawdę, to Robin i Charlie ich stworzyli, chociaż wszyscy byli zdumieni ich zdolnością do tworzenia rzeczy, pojawiających się znikąd.

Właśnie w chwili, kiedy doszli do domu, ścieżką nadbiegł indiański wojownik, zmierzając w ich stronę.

– Statek lecieć na niebie! – krzyknął, dziko i gwałtownie gestykulując.

– Statek na niebie? – powtórzył Charlie, spoglądając na Robin. Czy tworzyłaś może jakieś statki kosmiczne?

– Nie. Wiesz przecież, że mamy między sobą układ. Nie tworzymy niczego, czego nie jesteśmy w stanie zrozumieć.

Indianin był bardzo zdenerwowany. Miał na imię Tashtu, co znaczyło Dzikie Orzeł, i był zwyczajowym pośrednikiem między nimi, a plemieniem.

– Statek przemknąć przez niebo – powiedział. – Nie lądować. Polecieć dalej, w Dzikie Tereny.

Zainteresowanie Charliego, narastało. Dzikie Tereny. Stworzyli je pod wpływem impulsu, mniej więcej dwadzieścia mil od Obozu Indian, pośrodku między osadami Kongresmenów, w głębi lądu i Cyklopów, na wybrzeżu. To było miejsce pełne krętych wąwozów, skał i gór, całkowicie pozbawione życia. Nikt tam nigdy nie chodził. Pewnego dnia, jak zawsze mówił do Robin, będą mogli przebadać Dzikie Tereny. Jeżeli naprawdę istniał jakiś statek, i jeżeli właśnie tam poleciał...

## Johnny Mayhem

---

- Nie - oznajmiła Robin. - Wiem, o czym myślisz. Ale ja jestem absolutnie szczęśliwa tutaj.

- Właśnie przed chwilą mi mówiłaś, jak to czasami ci się wydaje, że Purpura nie jest realna, i gdzieś tam są inne, rzeczywiste planety, które...

- To co innego. Wolno mi przecież sobie pomarzyć, co nie?

- Ale czy nie rozumiesz, że jeżeli naprawdę przyleciał jakiś statek, oni mogą nam o tym powiedzieć.

---

**S**chwyciła go za rękę.

- Charlie. Och, Charlie, naprawdę nie wiem. Boję się. Byliśmy przecież tutaj szczęśliwi, nieprawda? Naprawdę nie chcielibyśmy, żeby to się zmieniło...

- Ja wyruszam w Dzikie Tereny - z uporem stwierdził Charlie.

Tashtu skinął potwierdzająco głową.

- To dobrze, że Pan tak zrobił. Dla wojowników...

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że oni wyruszyli za statkiem? - spytał go Charlie.

- Tak, Panie. Statek lecieć nisko, zniszczyć uprawy na milę dookoła. My rozpocząć taniec wojenny. Wyprawa wojenna wyruszyć o ostatnim świcie.

- Sześć godzin temu! - zawołał Charlie. - Czy uda nam się ich dogonić?

Tashtu wzruszył ramionami.

- Pośpieszyć się, Panie.

- Widzisz chyba sama - powiedział Charlie do Robin. - Oni są dzikusami. Nie są w stanie zrozumieć czegoś takiego, jak statki kosmiczne. Nie mieliby nawet na to ochoty. Jeżeli tylko będą mieli szansę, to będą najpierw zabijać, a dopiero potem zadawać pytania. Teraz, to już po prostu musimy wyruszyć w Dzikie Tereny.

Duży i muskularny Tashtu, gorliwie przytakiwał głową, ale Robin zdawała się nadal nie być do końca przekonana.

- Przecież - oświadczyła, - w książce nie ma nawet słowa o Dzikich Terenach.

- Przecież dlatego, że to my je stworzyliśmy.



## Johnny Mayhem

---

- A poza tym, Kongresmeni są niebezpieczni.
- Kongresmeni? Czy nie chodzi ci czasami o Cyklopów?
- Tak, przepraszam. Cyklopi są niebezpieczni.

Nie mogło jej chodzić o Kongresmenów. Nie było do końca jasne, dla żadnego z nich, co właściwie robili Kongresmeni. Ale po jednej stronie Dzikich Terenów, były ich całe setki, a wszyscy nieustannie przemawiali i składali obietnice. Mali, pękaci, łysi ludzie, z potężnymi, cudownie brzmiącymi głosami i wspaniałym słownictwem. Charlie uwielbiał słuchać, jak przemawiają.

- My iść, Panie? - spytał Tashtu.

Charlie skinął głową i szybko poszedł do domu, po swój karabin. Został on wymodelowany na wzór najpotężniejszego karabinu w encyklopedii, który nazywał się Karabin na Słonie Mannlichera. Robin wyszła, ze swoim mniejszym powtarzalnym Springfieldem.

- Gotowa? - spytał ją Charlie.
- Tak. Jedzenie możemy wymyślić sobie, dalej na szlaku.
- Pośpieszyć się, Panie - popędził ich Tashtu.

Charlie ledwie był w stanie powstrzymać swoje podekscytowanie. Dzikie Tereny, w końcu. No, i statek kosmiczny.

---

**P**urcell zdawał sobie sprawę, że do czasu, kiedy w końcu mieli wylądować na niezbadanej planecie, jego niechęć do Glaudota, zaczęła graniczyć z prawdziwą nienawiścią. Purcell, który miał czterdzieści pięć lat i był kawalerem, lubił kiedy jego ludzie byli twardzi, tak. Trzeba było być twardym, żeby wylądować na parudziesięciu planetach, przebadać je i pokonać, tak jak zrobił to sam Purcell. Ale również lubił, kiedy jego ludzie mieli w sobie odrobinę pokory. Aby stawiać na każdym kroku czoła nieznanemu i czasami niemożliwemu do poznania, potrzeba było szczypty pokory.

Glaudot, młodszy od Purcella o piętnaście lat, pewny siebie, arogancki, był szczupłym, żyłastym mężczyzną, przystojnym, w pewien ponury sposób, w stylu zmęczonego bohatera. I nie miał w sobie ani krztyny pokory. Z jednej strony, traktował załogę, jak śmieci, i to traktował ich w taki

sposób już od samego startu z Ziemi, niemal pięć miesięcy temu. Z drugiej strony, sam zdawał się nie mieć cierpliwości dla rozkazów Purcella, chociaż przecież Purcell nie był człowiekiem przesadnie ostrożnym, a już na pewno nie bojaźliwym. To, co narastało między nimi, zapłonęło otwartym ogniem, na kilka chwil przed lądowaniem na planecie.

- Nie mogę tego pojąć - przyznał Purcell. - Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem. - Przeprowadzali właśnie obserwacje teleskopowe z atmosfery. - Giganci mieszkający w jaskiniach - mówił dalej Purcell. - Żaglowce pływające pod piracką banderą, z trupa czaszką. A do tego miasteczko składające się z miniaturowych replik Białego Domu z Ziemi. No i syreny.

- Nie chce mi pan chyba powiedzieć, że naprawdę pan myśli, że widział syreny? - spytał Glaudot, z lekkim tonem politowania w głosie.

- No dobrze, przyznaję, że widziałem je tylko w przelocie. Wydawało mi się, że to są syreny. A pan powie o tych Indianach?

- Tak - przyznał Glaudot. - Widziałem Indian.

Lecąc na atmosferycznych silnikach rakietowych, przemknęli nad wioską Indian, na wysokości zaledwie kilkuset stóp i wyraźnie widzieli brązowoskórych ludzi, wyskakujących z wigwamów, z przerażeniem wpatrujących się na nich, do góry. Po tym wydarzeniu, Purcell zdecydował się znaleźć jakieś bardziej odosobnione miejsce na lądowanie, nie chcąc ryzykować zbyt nagłego spotkania z którąś z grup, tych fantastycznie zdywersyfikowanych tubylców.

Teraz jednak Glaudot stwierdził:

- Panie kapitanie, to wszystko co widzieliśmy, bierze pan za bardzo dosłownie. Przecież pamiętam, jak byłem kiedyś na Harfonte. gdzie braliśmy za rzeczywiste, całą masę różnego rodzaju halucynacji, dopóki kapitan Jamison nie odkrył, czym one właściwie są. Zostaliśmy tam zahipnotyzowani, aby widzieć to, czego najbardziej się obawialiśmy. A zrobili to nieszkodliwi tubylcy, którzy sami się nas wystraszyli.

- To nie jest Harfonte - odparł Purcell, z lekkim podenerwowaniem.

## Johnny Mayhem

---

– Tak, ale pana tam nie było.

– Wiem o tym, panie Glaudot. Ja tylko próbuję wskazać, że każda planeta musi być rozpatrywana, jako odmienne środowisko. Każda planeta stwarza specyficzne dla siebie problemy, które...

– A ja mówię, że to jest znowu taka sama sytuacja jak na Harfonte. I mówię jeszcze, że gdyby miał pan na tyle ikry, żeby wylądować dokładnie pośrodku tej indiańskiej wioski, to sam by się pan o tym przekonał. Powiem panu jeszcze, że rozgrywanie tego w sposób tak bliski nadawania tym stworzeniom jakichkolwiek praw, jest po prostu śmieszne – wyrzucił z siebie Glaudot, a potem uśmiechnął się lekceważąco. – Oczywiście, za przeproszeniem, panie kapitanie. Ale czy nie rozumie pan tego, że musi pan pokazać tym wszystkim pozaziemcom, niezależnie od tego, jaką mają postać, że Ziemianie ich się nie boją.

– Ostrożność i strach, to dwie zupełnie różne rzeczy – obstawał przy swoim Purcell.

Nie wiedział, dlaczego w ogóle zajmuje się wyjaśnianiem tego Glaudotowi. Być może z powodu chorążego Chandlera, najmłodszego człowieka w wyprawie badawczej, który był akurat w głównej kabinie statku i ich słuchał. Chandler był fajnym dzieciakiem, dobrze poukładanym i wychowanym zgodnie z najlepszymi tradycjami Ziemi. Ale Chandler, tak jak wszyscy chłopcy, którzy dopiero co wyrosli z tych swoich -nastu lat, łatwo poddawał się wpływom i fascynacjom. A już szczególnie łatwo poddawał się wpływom, podczas ostatnich kilku miesięcy, swoich pierwszych miesięcy, spędzonych w kosmosie.

– Kiedy jest się ostrożnym, robi się to w równym stopniu dla ochrony tubylców, jak i siebie samego – kontynuował Purcell, a potem starał się to ubrać w proste słowa, które Glaudot i Chandler powinni znać już wcześniej, z Akademii Eksploratorów Kosmosu.

Kiedy skończył, Glaudot wzruszył tylko ramionami i spytał:

– A co pan o tym sądzi, chorąży Chandler?

Twarz Chandlera powoli robiła się czerwona.

– Ja... ja wolałbym raczej o tym nie mówić – odparł. – Kapitan Purcell jest... kapitanem.

Glaudot uśmiechnął się tryumfalnie do Purcella. To właśnie wtedy niechęć Purcella do tego człowieka, osiągnęła poziom skrajnie intensywny. Purcell zastanawiał się, jak długo zatruwał on umysł młodzieńca, urabiając go przeciw doktrynom Akademii.

W tej właśnie chwili, na grodzi rozbłysła lampka i metaliczny głos zaintonował:

- Proszę przygotować się do lądowania. Proszę przygotować się do lądowania, natychmiast.

Purcell zmierzając do swojej uprząży startowej, powiedział Glaudotowi, który był pierwszym oficerem wyprawy:

- Niech pan przygotuje grupę naziemną do wyruszenia, pół godziny po lądowaniu.

- Tak jest, sir – gorliwie odpowiedział mu Glaudot. Przynajmniej było coś, co do czego byli zgodni.

---

- **P**anowie – oświadczył Purcell małej grupie naziemnej, która trzydzieści pięć minut później zebrała się koło głównej śluzy, – mamy określone zobowiązania względem naszej cywilizacji, które, jak mam nadzieję, wszyscy panowie rozumiecie. Podczas pobytu tutaj, na tej nieznannej planecie, nie wolno nam zrobić niczego, co mogłoby zdyskredytować imię Ziemi i galaktycznej kultury, którą Ziemia reprezentuje.

Wszyscy obejrżeli sobie wcześniej ponury, podobny do księżycowego krajobraz, przez porty widokowe. Czekali z entuzjazmem, aby wyjść ze statku, zatknąć na tej nowej planecie flagę Ziemi i dowiedzieć się, jaka ona była. W pierwszej grupie naziemnej, było tylko ośmiu ludzi. Kolejni mieli ruszyć ich śladem, kiedy pierwsza ósemka, przygotowuje podstawy do dalszych działań. Ósemka ta miała na sobie nowoczesne, lekkie skafandry kosmiczne, których używały wszystkie wyprawy eksploracyjne, nawet jeżeli temperatura i powietrze na nowej planecie wydawały się dosyć bliskie ziemskiej normie. Już dawno temu zdecydowano w Akademii, że nie wolno podejmować ryzyka, możliwego występowania w obcej atmosferze, jakichś nieznanymi czynników, które mogły być toksyczne, albo mieć śmiertelne i nieodwracalne

skutki. Po dwóch, trzech dniach szczegółowych badań laboratoryjnych, jeżeli wszystko dobrze pójdzie, być może będą mogli zrzucić z siebie skafandry kosmiczne.

W milczeniu stłoczyli się w służbie powietrznej. Purcell stał pierwszy, z flagą Ziemi w rękę, za nim Glaudot, a potem pozostali. Gdy rozsypali się po trudnym, okolicznym terenie, z portów widokowych statku obserwowały ich białe twarze kolegów.

Kiedy przewędrowali już kawałek drogi, przez wyludniony teren, Glaudot roześmiał się i powiedział:

– Przecież tutaj nie ma nikogo, poza nami, bojaźliwymi chłopczykami! Ale przecież, czego innego można się było spodziewać? Kapitan zabrał nas daleko od wszystkich innych, bardziej obiecujących miejsc.

Jedynym motywem działania tego człowieka, pomyślał sobie Purcell, jest jego kolosalne ego. Nic nie odpowiedział, uznając, że w ten sposób zniżyłby się, do poziomu Glaudota.

Kiedy przeszli już niemal całą drogę przez płytki krater, w którym wylądował statek badawczy, oraz kiedy Purcell wbił maszt z flagą, na najwyższym wzniesieniu, znajdującym się w obrębie niskich ścian krateru, Glaudot zaproponował:

– Panie kapitanie, a może byśmy się rozejrzeli, co tam jest za krawędzią krateru? Zróbmy przynajmniej tyle.

Purcell nie był entuzjastą tego pomysłu. Oznaczałoby to za szybką utratę statku z zasięgu wzroku. Ale dobiegające przez radio głosy większości jego ludzi, wskazywały, że zgadzali się oni z Glaudotem. Tak więc Purcell wzruszył ramionami i pozwolił pójść dwójce ochotników, jeżeli obiecują oni dołączyć z powrotem do głównej grupy, w ciągu dwóch godzin.

Glaudot natychmiast zgłosił się na ochotnika. To przynajmniej miało sens. Glaudot miał odwagę stosowną do swoich przekonań. Oprócz niego, zgłosiło się jeszcze kilku innych ludzi, ale jako pierwsza powędrowała w górę ręka chorążego Chandlera.

– Nie chciałbym zabrzmieć, jak ostatni służbista – oświadczył im Purcell. – Ale chciałbym, aby było jasne, że kiedy mówię dwie godziny, to myślę o dwie godziny. Ani minuty więcej.

– Tak jest, sir – potwierdził Chandler.

## Johnny Mayhem

---

- Glaudot?

- Tak jest, sir – odpowiedział pierwszy oficer.

- No, dobrze – westchnął Purcell. Podszedł do najbliższych z dużych mega-sań, na których piętrzyła się wysoka sterta ekwipunku. – Zorganizujemy tutaj obóz-bazę. Wiem, że ludzie, którzy pozostali na statku, będą chcieli rozprostować nogi, najszybciej, jak to tylko możliwe. Nie chcielibyśmy gonić po tej dziczy, w poszukiwaniu za panem, Glaudot.

- Na pewno nie za mną, panie kapitanie – zapewnił go Glaudot i razem z chorążym Chandlerem, wyruszyli w kierunku ściany krateru.

---

- **A** co to, u licha, jest? – spytał Chandler czterdzieści pięć minut później.

- Chłopcze, przestań podskakiwać, na widok każdego cienia. Spokojnie.

- Wydawało mi się, że widziałem coś, za tą skałą.

- No to, idź i zobacz.

- Ale...

- Do diabła, chłopcze, nie pozwól, żeby podczas twojej pierwszej w życiu wyprawy w kosmos, Purcell zaszczerpił ci wszystkie swoje lęki przed nieznanym. Ha, co ty na to?

- Tak jest, panie Glaudot – odpowiedział mu chorąży Chandler.

- Poza wszystkim innym – mówił dalej Glaudot, – nie ma czego się bać. Ciągłe jesteśmy w zasięgu wzroku ze statku. Chandler odwrócił się do tyłu.

- Nie widzę go – powiedział.

- Ze szczytu tej skały, zobaczyłbyś bez trudu.

- Tak pan myśli?

- No pewnie. Dlaczego nie wejdiesz tam i sam się nie rozejrzysz, jeżeli dzięki temu poczujesz się lepiej?

- Dobrze – powiedział Chandler i uśmiechnął się, dumny ze swojej śmiałości. Ale niejasno zdawał sobie sprawę, że znalazł się w krzyżowym ogniu między ostrożnym Purcellem i zuchwałym, aroganckim Glaudotem. Czasami wydawało mu się, że ostrożne podejście kapitana, miało sens. Przecież, jak

---

## Johnny Mayhem

---

uczył się w Akademii, na Wulcrestonie cała ziemską ekspedycja została zmasakrowana, jeszcze przed nawiązaniem kontaktu, ponieważ tubylcy mylnie uznali ręczne teleskopy, za broń. I z pewnością, na każdej planecie, ubrany w skafander człowiek, wyglądał bardziej jak potwór, niż istota ludzka, pomimo tego, że skafander był gorszy w walce niż goła skóra, ponieważ można było się w nim poruszać, tylko w dosyć niezgrabny sposób.

Te wszystkie myśli, przechodziły Chandlerowi przez głowę, kiedy wspinał się, na wysoki, skalisty wał. Będzie musiał dzisiaj wieczorem wysłać list podprzestrzenny do rodziców. Nie tylko, że został wybrany do pierwszej grupy badawczej, ale również brał udział w pierwszej wyprawie, poza zasięg widoczności statku. Z pewnością było to coś wartego, żeby napisać o tym do domu, a mama będzie z niego bardzo dumna...

Znalazł się już na szczycie skały. Pod nim, rozpościerał się rozległy, pogmatwany krajobraz, jak mapa konturowa, z koszmaru sennego kartografa. Po swojej lewej stronie, za postacią Glaudota, widział podobny do pocisku kształt statku kosmicznego, spoczywającego na płetwach ogonowych. A po prawej stronie...

Wpatrywał się w to, kompletnie oszołomiony.

W ostatniej chwili, próbował jeszcze ześlizgnąć się ze skały, ale but skafandra uwiązał mu w jakiejś szczelinie, i jego ostatnim błędem było to, że stanął wyprostowany, próbując go uwolnić.

Potem, wszystko naraz zniknęło w oślepiającym wybuchu bólu, i chwycił coś na swojej piersi, ale wiedział, że życie wypływa szybko z jego młodego ciała i nie miało już znaczenia, czy będzie w stanie wyciągnąć okrutny trzonek strzały z...

---

**G**laudot ruszył biegiem do góry, po zboczu skały. Ciągle nie mógł uwierzyć własnym oczom. Chorąży Chandler został przeszyty dwoma długimi upierzonymi bełtami, dwoma strzałami. Siła uderzenia pierwszej z nich, obróciła Chandlera do tyłu, i teraz leżał wygięty w łuk, przerzucony plecami

## Johnny Mayhem

---

przez kamienne występy na szczycie skały, ze sterzcącymi mu z piersi dwiema strzałami, a życie wyciekało z niego, razem z krwią, wypływającą ciemnym szkarłatem, na tle bieli skafandra kosmicznego.

Kiedy dotarł na szczyt skały i próbował ściągnąć na dół umierającego chłopca, Glaudot zobaczył Indian, wbiegających z pośpiechem po drugiej stronie ściany krateru. Indianie, pomyślał z niedowierzaniem. Indianie, jak na amerykańskim Zachodzie, setki lat temu. Indianie... Tylko, co oni u diabła tutaj robili?

Muskularny wojownik nałożył strzałę i jego prawa ręka dociągnęła zakończony piórami trzonek do samego ucha. Błyskawicznie Glaudot wyrzucił ręce w stronę nieba, mając nadzieję, że uniwersalny gest poddania zostanie zrozumiany również i tutaj. Wojownik stanął bez ruchu, jak posąg. Jego wargi otworzyły się. Mówił coś do kilku innych Indian, z atakującej bandy, ale Glaudot nie słyszał słów, mając na głowie założony hełm skafandra. Zdawał sobie jednak sprawę, że jego życie zawisło na włosku.

Obserwował tylko, zafascynowany i bezradny, jak Indianin, który zaszlachtował chorążego Chandlera, podchodzi w jego stronę.

---

**T**ashtu oznajmił mu:

– Dwie grupy wojowników, Panie. Jedna z nich iść na północ. Druga na południe. Iść za nimi?

Dotarli właśnie do wysuniętego obozu Indian, na obrzeżach Dzikich Terenów. Jak dotąd nie widzieli nawet śladu Cyklopów, żyjących w tej części planety. Ze wszystkich swoich tworów, Charlie i Robin bali się i unikali tylko Cyklopów, potężnych jednookich gigantów, którzy tak bardzo zaintrygowali Robin w encyklopedii, że poczuła wręcz przymus do ich stworzenia, i zrobiła to.

– Nie możemy iść za obydwoma grupami – stwierdził Charlie, wyglądający na zatroskanego.

– A dlaczego mielibyśmy nie móc? – sprzeciwiła się Robin.  
– Ty, Charlie, pójdiesz na północ, z paroma wojownikami. Ja



pójdę na południe. Powinniśmy dogonić atakujące grupy, zanim cokolwiek się stanie.

- Nie mogę puścić cię samej.

- W porządku, wezmę ze sobą Tashtu. Nie wydaje ci się, że Tashtu potrafi zaopiekować się mną równie dobrze, jak ty sam?

- Muszę powiedzieć, że nie podoba mi się ten pomysł... - zaczął Charlie.

- To głupie. Jeżeli musimy ich znaleźć zanim zaczną się kłopoty, to musimy to zrobić, i już. No co, czy nie tak?

Charlie niepewnie skinął w jej stronę głową. Dorastał razem z nią, i widział ją codziennie, w każdym dniu swojego życia, ale i tak za każdym razem, kiedy patrzył na nią, na jej piękną twarz, na opaloną, długonogą postać, nieznacznie tylko okrytą przez ubranie ze złotej siateczki, wręcz zapierało mu dech w piersiach. I chociaż w pewnym sensie, cała planeta była jego zabawką, nigdy nie widział niczego innego, tak pięknego. W końcu powiedział.

- Wydaje mi się, że jak dla mnie, to brzmi aż za bardzo logicznie. Pilnuj jej dobrze, Tashtu.

- Nawet za cenę życia, Panie - przyrzekł Indianin i grupa się rozdzieliła. Robin podbiegła do Charliego i uścisnęła go, całując go figlarnie w policzek, na wpół tylko poważnie.

- Ty też bądź ostrożny - powiedziała i wyruszyła w drogę z Tashtu i kilkoma wojownikami.

---

**N**aturalnie, że była podekscytowana. Wiedziała znacznie więcej ludziach w kosmosie, niż Charlie. Przecież czytała encyklopedię znacznie dokładniej, co nie? Zastanawiała się, jacy mogą być ci badacze kosmosu. Nie mogła nic poradzić na tę ciekawość, ponieważ jedynym człowiekiem jakiego znała, poza tymi których stworzyli, był Charlie. Oczywiście, nigdy nie mówiła o tym Charliemu, w zbyt wielu słowach, ale czuła -- zawsze to zresztą przeczuwała, lecz tylko mgliście i niejasno, a teraz czuła to zupełnie wyraźnie -- że zanim będzie mogła kontentować się życiem u boku Charliego, chce dowiedzieć się czegoś o świecie poza Purpurą. A przecież był to ogromny świat -- cała masa planet -- poza Purpurą.

## Johnny Mayhem

---

Wiedziała o tym. Encyklopedia wspominała o każdej z nich, ale w ogóle nic nie mówiła o samej Purpurze.

Przez kilka minut szli przez gęsty las, a potem nagle znaleźli się na krawędzi Dzikich Terenów. Nawet sama myśl o Dzikich Terenach, wlewała energię w członki Robin i powodowała, że poruszała się znacznie szybciej. Dzikie Tereny, to zupełnie nieznaną kraj, co nie? Zostały stworzone, zupełnie bez żadnej wiedzy, co wtedy tworzyli i nigdy ich nie przebadali.

Szła dalej na przedzie, z Tashtu, przedzierając się przez skały i rozkruszony pumeks. Na Dzikich Terenach nie wiały żadne wiatry. Powietrze nie było ani gorące, ani zimne. Otaczający ich krajobraz wydawał się być niezmienny i wieczny, jak gdyby wszystko tutaj wyglądało tak samo od zarania dziejów. A przecież Charlie i Robin stworzyli go zaledwie parę lat temu.

Przedzierali się tak dalej, jeszcze przez dwie godziny. Tashtu podążał dobrze widocznym w pumeksowym pyłe śladem. Doszli w końcu do ściany niskiego krateru, gdzie ślady ginęły. Początkowo Tashtu był lekko zdezorientowany, ale potem wskazał ręką na szczyt, jakieś paręset stóp nad ich głowami. Robin zauważyła pojawiające się od czasu do czasu błyski brązowych ciał i piór.

– Halooo! – zawołał Tashtu i paru ze znajdujących się nad nimi wojowników, obróciło się do nich, a potem wszyscy zaczęli mówić w łamanym angielskim, który był jedynym językiem jaki znali.

– Huragpha zabić potwora – mówili. – Złapać innego potwora. Ale potem zobaczyć... – słowa urwały się, ginąc w ciszy. To oczywiste, że Indianie byli bardzo zmieszani. – Wy iść, zobaczyć. Potwór, on krwawić jak człowiek.

Z Tashtu u boku, Robin pobiegła pod górę, po stromym skalistym zboczu. Kiedy dotarli na wierzchołek, ciężko dysząca i prawie zupełnie wyczerpana Robin przyłożyła dłoń do ust, z cichym okrzykiem przerażenia.

---

**N**a skale leżał rozciągnięty martwy człowiek, z dwiema strzałami wbitymi w pierś, przesywającymi tkaninę

skafandra kosmicznego. Skafander kosmiczny prawdopodobnie wystraszył Indian, ale to był człowiek, bez wątplenia. Gdyby Indianie podeszli do niego bliżej, to nawet oni by się zorientowali. Biedny człowiek... Przecież, to jeszcze niemal chłopiec.

Człowiek z kosmosu!

Był jeszcze jeden, w tej chwili otoczony szczelnie przez grupę Indian.

- On, więzień - oznajmił jeden z Indian, o imieniu Huragpha, nieco niepewnym głosem.

Robin podeszła do człowieka w skafandrze kosmicznym. Był to duży mężczyzna, większy nawet niż Charlie. Wyglądał na bardzo silnego, ale skafander mógł tu być nieco mylący. Wyglądał również na wystraszonego, ale nie przerażonego.

- Czy naprawdę jesteś z kosmosu? - spytała go Robin.

Glaudot odpowiedział jej:

- Dobrze, że ktoś z was potrafi wypowiedzieć coś więcej, niż tylko kilka chrząknięć. To już przynajmniej jest coś. - Popatrzył uważnie na Robin. - I to jeszcze ktoś piękny - dodał po chwili. Sposób w jaki to powiedział, wskazywał, że nie jest to komplement. To było obiektywne stwierdzenie faktu.

- Wiem, że niewiele to pomoże, jeśli powiem przepraszam, co do twojego kolegi. Słowa nic tu nie zmienią, jak się domyślam. Ale...

- Taaa - odparł Glaudot. - W porządku. On leży martwy. Ja go nie sprowadzę z powrotem, ani ty, siostró, też tego nie zrobisz.

- Nie jestem twoją siostrą - zwróciła mu uwagę Robin.

Glaudot wyjaśnił jej, że to tylko taki sposób zwracania się. Nie był w stanie uwierzyć własnym uszom. Dziewczyna mówiła po angielsku równie dobrze jak on, co było prawie że niewiarygodne tutaj, na planecie odległej o pół galaktyki. Odniósł jednak wrażenie, że była niemal nie do wiary naiwna. A w dodatku ci Indianie -- trudne do uwierzenia było już to, że to rzeczywiście byli Indianie -- zdawali się jej służyć, a nawet prawie ją czcili.

Glaudot usiadł na hełmie swojego skafandra, który zdjął z głowy parę minut temu i spytał ją:

## Johnny Mayhem

---

– Czy jesteś może szefową, tego wszystkiego tutaj dookoła?

– Szefową? Nie rozumiem.

– Czy tutaj rządysz? Sprawiasz, że coś się dzieje?

Robin uśmiechnęła się i wyjaśniła:

– Ja ich stworzyłam.

– Przepraszam. Teraz *ja* nie chwytam, co *ty* powiedziałaś.

– Powiedziałam, że ich stworzyłam. To bardzo proste. Mój przyjaciel i ja, dawno temu zdecydowaliśmy, że będzie miło, interesująco, czy jeszcze coś innego -- zapomniałam już, to było tak dawno temu -- w skrócie, że chcielibyśmy mieć paru Indian. Tak więc, stworzyliśmy Indian.

Glaudot ze śmiechu aż odrzucił głowę do tyłu.

– Przez chwilę – oświadczył, -- udało ci się spowodować, że niemal uwierzyłem.

Dziewczyna ubrana była jak dzikuska, powiedział sobie w myślach, jak przepiękna dzikuska, ale przynajmniej miała poczucie humoru. To też było coś.

– Ale co w tym jest takiego zabawnego? – spytała Robin.

– Właśnie przed chwilą mi powiedziałaś...

– Doskonale wiem, co powiedziałaś. Mój przyjaciel i ja stworzyliśmy Indian. Zgadza się. No i co z tego? Czy wy nie potraficie sobie stworzyć wszystkiego co jest wam potrzebne? Choćby czegokolwiek?

– W porządku sestro – odpowiedział jej nieco gniewnie Glaudot. Nie lubił, kiedy ktoś sobie z niego żartował, brakowało mu wielkoduszności, niezbędnej do umiejętności śmiania się z samego siebie. – Powiedz mi tylko, czy masz mnie za, aż tak wielkiego głupca?

– A niby skąd mam to wiedzieć? – odparowała. – A jak wielkim głupcem jesteś?

Glaudot wpatrywał się w nią gniewnym wzrokiem. Purcell naprawdę się wścieknie, kiedy mu powie o śmierci Chandlera, ale już wcześniej ludzie umierali podczas wypraw, a to naprawdę nie była wina Glaudota. A w każdym razie, udało mu się nawiązać kontakt z kimś, o niewątpliwie dużym znaczeniu między tubylcami, i Purcell powinien to docenić.

– Mniejsza z tym – wycofał się Glaudot.

– Powiedz mi coś o życiu w kosmosie. Czy naprawdę latacie między gwiazdami?

## Johnny Mayhem

---

- No cóż, tak – odpowiedział jej Glaudot. – Chociaż, tak naprawdę, to nie jest latanie.
- I stworzycie nowe gwiazdy, kiedy do nich dotrzecie?

**I** znów wsiadła na tę swoją gadkę o tworzeniu, tak jakby kreacja z niczego, była zjawiskiem powszechnie występującym w całym wszechświecie. Glaudot podniósł się na nogi.

- No dobrze, siostró. Pokaż mi.
- Dobrze, tylko co mam ci pokazać?
- Stwórz coś.
- Czy to znaczy – spytała z rozczerwaniem Robin, – że ty naprawdę nie potrafisz tego zrobić?
- Pomiń te wstępy i po prostu coś stwórz.

Robin wzruszyła ramionami.

- A co byś chciał?

Glaudot przez chwilę intensywnie myślał.

- Fortepian! – nagle oznajmił. – Co myślisz o fortepianie?
- To dosyć skomplikowana rzecz, pomyślał sobie. – A kiedy będziesz się tym zajmować, to może opowiesz mi, dlaczego wszyscy tutaj mówią po angielsku -- albo przynajmniej usiłują mówić po angielsku?

Robin zmarszczyła brwi.

- A czy jest jakiś inny sposób mówienia?

Glaudot też zmarszczył brwi. Ten ciąg myślowy, nie zaprowadzi go zbyt daleko.

- O.K. – powiedział. – To może co, malutki fortepianik pojawiający się przed nami?

- W porządku – odpowiedziała Robin.

Glaudot mrugnął zaskoczony. Stojąca obok niego śliczna dziewczyna nawet nie drgnęła. Nawet nie zmieniła wyrazu swojej twarzy. Ale przed nimi, na skale, stał wielki, salonowy fortepian.

- A niech mnie diabli – wykrztusił Glaudot. – Co jeszcze potrafisz stworzyć?

- Naszym dziełem są ci wszyscy tutejsi tubylcy. Stworzyliśmy zielen i purpurę. Stworzyliśmy całe Dzikie Tereny. Stworzyliśmy nawet niektóre ze zwierząt.

## Johnny Mayhem

---

– Tak jak fortepian? Z niczego?

– A czy jest jakiś inny sposób?

Glaudot powiedział:

– Lepiej będzie, jak pójdziesz ze mną na statek. Kapitan będzie chciał się z tobą zobaczyć.

Tashtu pokręcił przecząco głową.

– Pani Robin zaczekać na Pana.

Glaudot popatrzył na Robin.

– Kto to jest?

– Charlie. Ty tylko mój przyjaciel. Ja... nie wydaje mi się, żebym musiała na niego czekać. To ja zawsze byłam bardziej zainteresowana czytaniem o ludziach z kosmosu, niż on. Pójdę z tobą, jeżeli będziesz chciał.

Tashtu wyglądał na strasznie nieszczęśliwego.

– Pan Charlie, on powiedziec...

– No cóż, Tashtu, możesz tutaj poczekać i powiedziec Charliemu, gdzie poszłam. Czy to nie proste? Absolutnie nic mi się nie stanie, nie musisz się o mnie martwić.

– Pan Charlie, on powiedziec, żeby pilnować Pani.

– A ja ci mówię, że idę z tym człowiekiem, na jego statek.

Tashtu pokłonił się.

– Pani przemówiła – oświadczył i przyglądał się, jak Robin schodzi ze skalistego wału i idzie dalej z Glaudotem, w kierunku odległego błysku światła na metalowej powierzchni, wskazującego miejsce w którym znajdował się statek kosmiczny, o którym mówili.

---

– **A** więc potrafisz stworzyć zupełnie wszystko? – spytał Glaudot.

– Myślę, że tak.

Bogini, pomyślał. Piękna bogini, która...

Nagle zaczął patrzeć nią innym wzrokiem. Która mogła uczynić go najpotężniejszym człowiekiem w całej galaktyce.

– Ten twój statek kosmiczny... – zaczęła mówić.

– Poczekaj. Jedną chwileczkę. Jeżeli potrafisz stworzyć cokolwiek, to co byś powiedziała, na odtworzenie Chandlera?

– Chand-lera? Co to jest Chand-lera?

## Johnny Mayhem

---

– Ten chłopiec, który tam został. Ten, którego zabili twoi wojownicy.

Robin odparła:

– Jeżeli sobie tego życzysz... – i Glaudot wstrzymał oddech. Władza nad życiem i śmiercią, pomyślał sobie...

Popatrzył na ziemię i zobaczył leżące tam ciało Chandlera w skafandrze kosmicznym, z dwiema strzałami przebijającymi mu pierś. Pokręcił przecząco głową.

– Ale nie martwego – powiedział. – Na co komuś martwy człowiek.

Robin skinęła głową.

– Bardzo cię przepraszam – przyznała mu rację. – Po prostu nigdy wcześniej nie myślałam, o przywracaniu do życia ludzi. To... to jakoś, wydaje się...

– O co chodzi?

– Nigdy nie udałoby mi się przywrócić go tak naprawdę. To byłaby kopia, tylko kopia.

– Ale doskonała kopia?

– Myślę, że tak.

– A więc, jeśli byłaby to tylko kopia, to w ogóle nie powinnaś się tym przejmować, nieprawdaż?

– No, cóż... – stwierdziła z powątpiewaniem.

– No, dalej. Pokaż mi, że potrafisz to zrobić.

Glaudotowi opadła szczeka. Obok leżącego ciała Chandlera, pojawiła się inna postać. Drugie ciało Chandlera. Ta inna postać zerwała się na nogi. To był Chandler.

---

– **U**ważaj! – krzyczał nowy Chandler. – Uważaj... Indianie!

– Tylko spokojnie – uspokajał go Glaudot. Sam Glaudot miał jednak zupełnie białą twarz i wielkie, okrągłe, wpatrujące się z niedowierzaniem oczy.

Chandler popatrzył pod nogi, na leżące na skale ciało. Ugięły się pod nim kolana i Glaudot musiał go przytrzymać, żeby nie upadł. Chandler próbował coś powiedzieć, ale nie był w stanie wykrztusić nawet słowa. Wpatrywał się tylko z przerażeniem i fascynacją w ciało, które było idealną kopią

jego własnego -- albo kopią martwego człowieka, z którego nowy, żywy człowiek, został powielony.

- Czy teraz możemy pójść do twojego statku? - Robin uprzejmie spytała Glaudota. - Zawsze chciałam zobaczyć prawdziwy statek kosmiczny.

To była prawdziwa moc, pomyślał sobie Glaudot. Niewiarygodna moc. Taka moc wystarczyłaby, żeby formować planety, żeby rzeźbić je, począwszy niemal od pierwotnego tworzywa, dla siebie samego. To była moc znacznie większa, niż oferowana kiedykolwiek, któremukolwiek z ludzi w całej galaktyce. Czy należała ona do niego, do Glaudota?

Nie będzie, jeżeli zaprowadzi tę piękną dziewczynę na statek, do Purcella. Ponieważ kapitan Purcell, z oddaniem służący cywilizacji galaktycznej, którą próbował rozszerzać na coraz dalsze planety, będzie myślał w kategoriach tego, jakie dobro, odkrycie tej dziewczyny, może przynieść całej ludzkości. Ale gdyby Glaudot zatrzymał to wszystko dla siebie...

Wtedy druga myśl, nieomal go ogłuszyła. Dlaczego tylko dziewczyna? Wspominała przecież o jakimś swoim przyjacielu, co nie? Być może było to coś w atmosferze tej dziwnej planety, w każdym oddechu powietrza wciągany do płuc. Może każdy mógł to robić, mógł tworzyć coś z niczego -

- myślał Glaudot.

- Chcesz pójść na statek kosmiczny? - spytał dziewczynę.

- Tak. Och, tak.

- A więc naucz mnie tajemnicy tworzenia.

- To znaczy, chodzi ci o robienie rzeczy? Przecież to nie jest żadna tajemnica. To powinna być tajemnica? Po prostu -

- tworzysz.

- Pokaż mi - nalegał Glaudot.

---

**P**rzed nimi pojawił się stół, zastawiony przepysznyimi potrawami.

- Magia! - zawołał Chandler.

Jako następny zmaterializował się wielki rumak, deresz, w uprzęży, ale bez siodła. Robin wskoczyła na jego szeroki



## Johnny Mayhem

---

grzbiet, utrzymując równowagę i kontrolując konia, gołymi kolanami. Rumak pocwałował coraz dalej.

- Zaczekaj! - krzyknął za nią Glaudot. - Proszę cię, zaczekaj!

Rumak przygalopował z powrotem i Robin zsiadła z niego. Koń zaczął skubać kępę trawy, która nagle pojawiła się na gołej skale. Zwierzę wydawało się być całkiem z niej zadowolone.

- Czy chcesz powiedzieć - spytał nowy Chandler wystraszonego głosem, - że ona tak po prostu stworzyła to wszystko? Jedzenie. Stół. Konia...

- Tak - odparł Glaudot. Skoncentrował swoją wolę na stworzeniu na świeżym poletku trawy, choćby jednego kwiatka. Skoncentrował wszystkie swoje siły, całe jestestwo.

Nic się jednak nie wydarzyło.

Popatrzył na Robin niemal gniewnym wzrokiem, tak jakby była to jej wina.

- Nie mam takiej mocy, którą ty posiadasz - stwierdził ponuro.

Potwierdziła skinieniem głowy.

- Tylko ja i Charlie ją mamy. - Odwróciła się na wspaniałego deresza. - Czyż nie jest piękny? Dam go w prezencie Charliemu. - Odwróciła się z powrotem do Glaudota. - A teraz zabierz mnie na statek.

- Powinniśmy ruszyć w drogę powrotną, panie Glaudot - poparł ją Chandler.

- Tak? A dlaczego?

- Przecież... przecież nie muszę chyba panu mówić, dlaczego! Ta dziewczyna, to jedno z najważniejszych odkryć, jakiego kiedykolwiek dokonano! Zdolność do tworzenia rzeczy materialnych... zupełnie z niczego...

- Pokaż mi swoją planetę - zaproponował Glaudot Robin, ignorując słowa młodego człowieka. - O statkach kosmicznych możemy porozmawiać sobie później. Rozumiesz, ja jestem badaczem i badanie nowych planet, to moja praca. - Powiedział to powoli, prostymi słowami, tak jakby mówił do dziecka. Jakoś, chociaż dziewczyna nie była dzieckiem i była absolutnie najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział na oczy, wydawało mu się to, najlepszym podejściem.

## Johnny Mayhem

---

- Zaraz, chwileczkę, panie Glaudot - zaprotestował Chandler. - Obaj doskonale wiemy, że naszym obowiązkiem jest odprowadzić ją do kapitana Purcella.

- Być może uważasz, że to jest twój obowiązek - powiedział Glaudot do młodszego mężczyzny. - Ja wcale nie myślę, żeby był moim. A zanim pobiegiesz na statek, żeby zameldować o wszystkim swojemu wspomniałemu kapitanowi, powinienesz wiedzieć, że gdyby nie ja, to w tej chwili leżałbyś martwy jak kamień.

- Pan?

- Do diabła, tak. Ci Indianie, czy kim tam oni byli, zabili cię. Poprosiłem dziewczynę, żeby przywróciła cię do życia.

- Żeby przywróciła... - powtórzył Chandler, szeroko otwierając usta.

- Tak właściwie, to ona stworzyła twoją doskonałą kopię. Żywą kopię. Chandler, czy rozumiesz, co ona nam oferuje? Nieskończone bogactwo dzięki możliwości stwarzania z niczego -- i wieczne życie, dzięki możliwości kopiowania naszych ciał, za każdym razem kiedy umrzemy! I co teraz powiesz o swoim wspomniałym kapitanie?

Chandler zdawał się być zupełnie zdezorientowany. Pokręcił tylko głową, spoglądając najpierw na Glaudota, a następnie na Robin.

- Statek - wyjąkał. - Nasz obowiązek... kapitan...

Glaudot parsknął i zwrócił się do Robin:

- Zabij go.

- Zabić go?

- Tak. Ty powołałaś go do istnienia. Teraz odeślij go z tego istnienia w nicość.

- Ale ja nie mogę tego zrobić. Kiedy już coś stworzę, nie mam nad tym dalszej kontroli. A poza tym... nie mogłabym nigdy zabić istoty ludzkiej, nawet gdybym potrafiła to robić.

W oczach Chandlera pojawił się strach.

- Panie Glaudot, niech pan posłucha... - zaczął mówić.

- Do diabła, to ty mnie posłuchaj - przerwał mu Glaudot.

- Przywróciłem cię z powrotem do życia. Zaoferowałem ci udział w największej mocy, jaka kiedykolwiek była znana we wszechświecie. Odrzuciłeś to. Przykro mi, Chandler. Naprawdę jest mi cię żal. Ale chyba rozumiesz, że nie mogę pozwolić ci, wrócić na statek. Nie, dopóki nie dowiem się

niecو więcej o tej planecie, dopóki nie zrozumieć dokładnie na czym polega moc tej dziewczyny i nie skonsoliduję swojej pozycji.

---

**N**ie czekając, aż usłyszy więcej, Chandler zaczął uciekać. Trzema wielkimi susami dopadł pasącego się dereszowatego rumaka i wskoczył mu na grzbiet, kopiąc piętami w boki. Ogier ruszył szybkim kłusem, zaś Glaudot wyciągnął blaster i wycelował go prosto w plecy uciekającego Chandlera.

Kiedy miał już Chandlera niemal idealnie na celu, Glaudot zaczął naciskać spust. Nagle jednak osadę spustu blastera, zaczęły otaczać cieniutkie, drobne pnącza. Były ich całe setki, zwijały się i pełzyły po całej broni, dostając się również do urządzeń celowniczych, tak że Glaudot nie był w stanie dobrze wycelować. Do czasu zanim obrał blaster z pnączy, dziko przeklinając, dereszowaty rumak wyniósł już Chandlera z zasięgu wzroku, umożliwiając mu ucieczkę na statek.

Glaudot obrócił się szybko w stronę Robin.

– To twoja robota! – oskarżył ją gwałtownie. – To ty zrobiłaś. Dlaczego... powiedz mi, dlaczego?

– Chciałaś go zabić. Nie powinieneś tego robić.

– Ale teraz wszystko zrujnowałaś. Nie tylko moje plany. Ale nasze, czy tego nie rozumiesz? Mógłbym położyć ci świat u stóp. Mógłbym... słyszysz! Powiedz mi tylko -- czy jest gdzieś tutaj jakieś miejsce, w którym moglibyśmy się ukryć? Jakieś miejsce, gdzie nas nie znajdą, nawet gdyby mocno nas szukali, w którym moglibyśmy pracować nad twoimi mocami i ustalić dokładnie, co mogą one zrobić, a czego nie?

– Chciałabym zobaczyć statek kosmiczny, proszę – odparła błagalnie Robin.

– Potem, obiecuję ci – powiedział Glaudot. – Przecież możemy sobie stworzyć tyle statków kosmicznych, ile będziemy chcieli -- z niczego. Czy nie tak?

– Tak – przyznała Robin. – Wydaje mi się, że tak. Ale nawet jeżeli ukryjemy się przed twoimi przyjaciółmi, mój przyjaciel Charlie nas znajdzie. Będzie się o mnie martwić i nas znajdzie. Widzisz, Charlie może zrobić wszystko to, co i ja.

**G**laudot stał i wpatrywał się w nią, z gniewem w oczach. Po chwili jednak, gniew zastąpiło coś innego. Nie, pomyślał sobie. Charlie nie mógł zrobić tego wszystkiego, co ona. Ona była piękna. Jej na wpół nagie ciało, wzbudzało w nim pożądanie. Badawczo, gotów wycofać rękę, na pierwszą oznakę sprzeciwu, dotknął jej nagiego ramienia. Nie było żadnej reakcji z jej strony. Po prostu stała tam, czekając na jakąś odpowiedź od niego.

- A więc, będziemy musieli ukryć się również przed Charliem. Proszę, uwierz mi - przekonywał ją Glaudot. - Ja jestem z kosmosu, a ty wiesz bardzo niewiele, o żyjących w nim ludziach. Chciałabyś dowiedzieć się więcej?

- Tak. Tak, chcę.

- A więc, zabierz mnie w takie miejsce, gdzie nawet Charlie będzie miał problemy, żeby nas znaleźć.

- Ale przecież on będzie wiedział, gdzie jesteśmy.

- Co to znaczy, że on będzie wiedział, gdzie jesteśmy. Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że potraficie czytać nawzajem swoje myśli?

- O Boże, nie. Nic takiego. Ale kiedy byliśmy bardzo mali, pewnego razu powiedziałam Charliemu, że jeżeli kiedykolwiek się na niego wścieknę, ukryję się przed nim w kraju Cyklopów, i nigdy nie uda mu się mnie znaleźć, bo cyklopi go pożrą. To było po tym, jak przeczytaliśmy o Cyklopach w historii Odyseusza, w naszej encyklopedii. Rozumiesz teraz?

- Cyklopi, co? Naprawdę masz na myśli takich jednookich olbrzymów?

- Tak. Stworzyliśmy ich, ale oni nie chcą nas słuchać.

- Czy we dwoje moglibyśmy ukryć się gdzieś na ich ziemiach? To daleko stąd?

- Nie. Bardzo blisko. Ale, ja nie wiem, czy chcę...

- Jestem przecież człowiekiem z kosmosu, co nie? A ty przecież chcesz dowiedzieć się więcej o mieszkających w kosmosie ludziach i znajdujących się w nim innych planetach. A więc, chodź ze mną!

- Ale...

## Johnny Mayhem

---

– Jeżeli powiesz nie, to ja wracam na statek, zaraz nim wystartujemy, i do końca życia, nigdy więcej już nie zobaczysz nikogo z kosmosu – zagroził jej Glaudot.

Robin nie odpowiedziała.

– A więc? – ostro rzucił Glaudot, jakby mu w ogóle nie zależało. – Czy chcesz, żebym to zrobił?

– Nie – przyznała po chwili Robin.

– No, to chodźmy. – Glaudot zdawał sobie sprawę, że muszą się pośpieszyć. Jadąc na tym rumaku, nieprawdopodobnym, wspaniałym, wyczarowanym z niczego rumaku, Chandler prawdopodobnie już dotarł do statku. Kilka słów, kilka pośpiesznych wyjaśnień, i Purcell wyruszy w pościg za Glaudotem z grupą uzbrojonych ludzi.

Znow Robin przez dłuższą chwilę milczała. Glaudot stał przed nią w napięciu, tak blisko niej, że gdyby wyciągnął ręce i to bez trudu otoczyłby ją ramionami. Ale to nie jest odpowiedni czas na to, powiedział sobie w duchu. Później... później...

– Zgoda – w końcu powiedziała Robin, ale w jej oczach widać było zatroskanie. – Zaprowadzę cię, do krainy Cyklopów.

W milczeniu, wyruszyli w drogę. Pół godziny później, jałowe tereny skaliste, ustąpiły miejsca zielonej dżungli, której drzewa były bez wątpienia największymi, jakie Glaudot kiedykolwiek widział na oczy, w której trawa i pachnące dzikie kwiaty wyrastały ponad ich głowy. Glaudot jeszcze nigdy w życiu nie czuł się taki mały.

---

– **J**edną chwilę, panie Chandler – zaprotestował kapitan Purcell. – Wysłuchałem spokojnie wszystkiego, co miał mi pan do powiedzenia. Absolutnie wszystkiego, niezależnie od tego, jak bardzo niewiarygodnie by to brzmiało. Ale nie oczekuje pan chyba, że uwierzę...

– Proszę popatrzeć na konia. Skąd go wzięłem, sir?

– A więc, na tej planecie żyją konie. I co z tego?

– Ale ja widziałem, jak ta dziewczyna tworzy go zupełnie z niczego, sir!

– Naprawdę... panie Chandler.

## Johnny Mayhem

---

- Widziałem również ciało. Moje ciało, panie kapitanie. Moje!

- Do diabła, człowieku! Glaudot wróciłby na statek z dziewczyną. On zna swoje zobowiązania wobec cywilizacji. On...

- Glaudot, sir? Naprawdę?

Purcell groźnie na niego spojrzął i w końcu stwierdził:

- Panie Chandler, albo pan i Glaudot dokonaliście najbardziej zdumiewającego odkrycia, od czasu kiedy człowiek oswoił swoje środowisko, stając się dzięki temu więcej, niż tylko stosunkowo mądrym zwierzęciem, albo jest pan największym kłamcą, jaki kiedykolwiek przemierzał otchłanie kosmosu.

Chandler odpowiedział kapitanowi bladym uśmiechem.

- Dlaczego pan sam się o tym nie przekona, sir?

- Na Boga - oznajmił Purcell, - zrobię to. McCreedy! - ryknął do interkomu. - Smith! Wong! W ciągu pół godziny chcę mieć grupę dwudziestu pięciu uzbrojonych ludzi, gotowych do opuszczenia statku i wyruszenia na ekspedycję.

I dokładnie pół godziny później, wyprawa wyruszyła, z kapitanem Purcellem i Chandlerem na czele. Chandler jechał na oklep na dereszowatym rumaku.

---

**K**iedy Charlie i jego mała grupka Indian przekonali się, że cała akcja rozgrywa się na południu, tam gdzie podążyła Robin, szybko wyruszyli w tą stronę. Im dalej maszerowali, tym bardziej Charlie się martwił. Gdyby Robin osiągnęła jakieś sukcesy, gdyby udało jej się powstrzymać wyprawę wojenną i nawiązać jakiegoś rodzaju pokojowe relacje z przybyszami z kosmosu, wysłała by do nich gońca, żeby ich o tym powiadomić. Ale opustoszałe, usiane skałami tereny, rozciągające się przed nimi, były równie pozbawione życia, jak paleozoiczna Ziemia.

Charlie popędzał swoich ludzi niemiłosiernie. Był niestrudzonym piechurkiem, a ponieważ wojownicy żyli z polowania, potrafili dotrzymać mu kroku, niezależnie od podyktowanego tempa. W końcu Charlie zobaczył przed nimi,

drugą grupę Indian. Cisnął na ziemię Karabin na Słonie Mannlichera i ruszył biegiem w ich kierunku.

- Tashtu! - zawołał. - Tashtu!

Indianin wybiegł mu naprzeciw szybkim sprintem.

- Panie - wydyszał, pozbawionym tchu głosem, - jedno stworzenie z nieba, ono umrzeć. Okazało się być człowiekiem.

- O czym ty mówisz? - spytał go Charlie.

Tashtu poprowadził go do grupy wojowników, nadal zebranych wokół ciała chorążego Chandlera.

- Dlaczego? - zaczął dopytywać się Charlie, zdjęty zgrozą. - Dlaczego?

Tashtu opowiedział mu o wszystkim, co się wydarzyło. Jak wojownicy błędnie wzięli ubranego w skafander kosmiczny człowieka za potwora. Jak wystrzelono strzały, zanim zorientowali się, że jest inaczej. Jak przybyła Robin i odeszła z przybyszem z kosmosu.

- Do ich statku kosmicznego? - spytał Charlie.

- Tak, Panie. Tak właśnie oni mówić. - Tashtu wskazał ręką na wierzchołek skalnego wału. - Stamtąd, Panie, można go zobaczyć.

Charlie wspiął się na szczyt skały. Stojąc na nierównej grzędzie na wierzchołku, bez trudu dostrzegał niewielki, srebrzysty błysk statku kosmicznego -- i zbliżającą się grupę ludzi, prowadzonych przez kogoś jadącego na końskim grzbiecie. Charlie pośpieszył na dół, na w górę schodząc, na w górę ześlizgując się.

- Idą tutaj - oznajmił. - Może Robin jest razem z nimi. - Pamiętał, co się stało ostatnim razem i powiedział. - Reszta z was ma wrócić do swoich domów. Tashtu i ja wyjdziemy im naprzeciw.

- Ale, Panie... - rozpoczął Tashtu.

- Tak?

- Nie podobać mi się tamten człowiek. Nie ufałem mu.

- Dlaczego więc pozwoliłeś, aby Robin z nim poszła?

- Pozwolić jej, Panie? Ale z pewnością Robin, Pani Robin, nie posłuchać zwykłego...

- Już dobrze, już dobrze - przerwał mu Charlie. - Ale jest cała masa powodów, żeby odesłać resztę wojowników do

## Johnny Mayhem

---

domów. My sami damy sobie z tym radę, Tashtu, ty i ja. Nie chcę dalszego zabijania.

– Tak, Panie – odparł Tashtu.

Indianie szybko uformowali się w kolumnę marszową i odeszli. Charlie powiedział Tashtu, co widział ze szczytu skalnego wału. Potem jeszcze dodał:

– Chodźmy, wyjdźmy im na spotkanie.

I Charlie i Tashtu wyruszyli przez udręczone Dzikie Terytoria.

---

– **Z**bliża się do nas dwóch mężczyzn! – zawołał Chandler, zatrzymując dereszowatego rumaka.

Kapitan Purcell zasygnalizował swoim dwudziestu pięciu ludziom, żeby się zatrzymali, a ich porządną dwusereg stanął uformowany tuż za nim. Wkrótce wszyscy mogli już dostrzec dwie postaci, zmierzające w ich stronę, między skałami. Kiedy znaleźli się już dostatecznie blisko, kapitan Purcell pozdrowił ich:

– Przybywamy w pokoju!

– I my również przybywamy w pokoju! – zawołał Charlie. Chwilę później wymieniał już poważny uścisk dłoni z kapitanem Purcellem.

– Opowiedz kapitanowi o... o moich zwłokach – zwrócił się Chandler do Tashtu.

Charlie przyjrzał się uważniej Chandlerowi. Rozpoznał martwego człowieka.

– Robin cię stworzyła? – spytał z zaskoczeniem. – Nigdy wcześniej nie przywoływaliśmy martwych do życia.

– Czy naprawdę możesz to zrobić? – dopytywał się Purcell.

– Nie, nie naprawdę. Ale możemy stworzyć idealne kopie -- i te kopie żyją.

– Widzi pan? – tryumfalnie ogłosił Chandler.

Kapitan Purcell zażądał:

– Proszę mi pokazać.

---



Charlie stworzył brata bliźniaka dereszowatego ogiera. Kapitan Purcell osłupiał. Ten jeden przykład, całkowicie mu wystarczył, i nie pytał już więcej, tak jak przedtem robił to Glaudot.

– Gdzie jest Robin? – zapytał Charlie. – Na statku?

Chandler pokręcił przecząco głową.

– Glaudot z nią uciekł.

– Ale myślałem, że on był na statku!

– Glaudot zdezerterował – wyjaśnił Chandler. – Razem z dziewczyną. On chce jej dla siebie. Chce pozyskać jej potęgę.

Charlie poruszał się błyskawicznie. Prześlizgnął się przed Chandlera i złapał go za przód tuniki, skręcił ją w kłęb, szarpnął, lekko rozrywając i poderwał Chandlera do góry, niemal odrywając jego stopy od ziemi, zanim ktokolwiek zdołał się nawet ruszyć, aby go powstrzymać.

– Gdzie oni poszli? – spytał strasznym głosem. – Gdzie oni są. Zaprowadź mnie do nich.

– Ale ja nie... nie wiem! – zaprotestował Chandler, próbując wyrwać się z rąk Charliego, bez specjalnego sukcesu.

Dopiero kapitan Purcell zrobił krok naprzód, mocno złapał Charliego za ramię, odciągając go od Chandlera.

– Pamiętaj – powiedział twardo. – W pokoju. W pokoju.

Charlie stał z rękoma opuszczonymi po bokach. Jego twarz była zupełnie biała i widać było na niej olbrzymie napięcie.

– Dziewczyna – powiedział tylko.

– My wszyscy chcielibyśmy się dowiedzieć, gdzie zabrał ją Glaudot – odparł kapitan Purcell. – Pomożemy ci jej szukać. Powiedz mi tylko, czy dziewczyna mogłaby pójść z Glaudotem z własnej woli? Może, dzieląc z nim jego marzenia o potędze?

– Robin? – zawołał Charlie. – Nigdy!

– Proszę cię, chłopcze – powiedział kapitan Purcell. – Chcę, żebyś pomyślał. Chcę, żebyś rozważył wszystkie okoliczności. Ty i ta twoja dziewczyna, możecie posiadać niemal boskie moce, ale spędziliście całe swoje dotychczasowe życie na małym cywilizowanym planecie i, no cóż -- szczerze mówiąc -- czy tak wyrafinowana dziewczyna jak

Glaudot, nie mógłby dziewczynie zawrócić głowy? Nie mógłby jej tak zakręcić, żeby poszła razem z nim, przynajmniej chwilowo? Przyjmując teraz teoretycznie, że mógł to zrobić, on nie zna tej planety. Jest tego zresztą świadomy. Zdaje sobie również sprawę, że wyruszymy za nim w pościg. Być może dziewczyna powiedziała mu także o tobie. Powiedz mi, człowieku -- gdzie twoja dziewczyna mogłaby pójść, gdyby nie chciała, żebyś ją znalazł? Czy jest takie miejsce? Zanim odpowiesz, chciałbym żebyś wiedział, że sprawa, z którą mamy tutaj do czynienia, może być dużo poważniejsza, niż myślisz. Musimy wziąć pod uwagę nie tylko bezpieczeństwo dziewczyny... ale nie, nie zrozumiałbyś tego...

- Chodzi panu o to - spytał Charlie, - że jeżeli ten człowiek, Glaudot, jakoś przekona Robin do użycia jej mocy na jego żądanie, mógłby chcieć zawładnąć wszystkim na całej Purpurze?

- Miałeś na myśli tę planetę? Nazywa się Purpura? Tak -- i znacznie więcej. Nie można nawet powiedzieć, jak daleko, taki człowiek jak Glaudot, mógłby zajść mając do dyspozycji taką potęgę. A przy możliwości tworzenia każdego dowolnego uzbrojenia, i wszystkich tych śmiertelnych środków, różnego rodzaju pocisków mogących je przenosić, mógłby rzucić wyzwanie całej galaktyce -- i wygrać!

Te słowa zabrzmiały dla Charliego dziwnie. Rozumiał je tylko mgliście. Ale Robin, pomyślał sobie, ona mogłaby to zrozumieć. Robin zawsze bardziej się interesowała tego rodzaju rzeczami. Robin, która niemal znała tę swoją encyklopedię na pamięć, Robin...

- Niech pan posłucha - powiedział. - Niech pan mnie posłucha. Stworzyliśmy wszystkie żywe istoty na tej planecie. Stworzyliśmy Greków, Marynarzy Royal Navy, Ministrów, Rosjan, Kongresmenów i wszystko, co znaleźliśmy, gdzieś usłyszeliśmy lub przeczytaliśmy w naszej książce. Żyjemy dobrze ze wszystkimi z nich, oprócz...

- Tak - ponaglił go kapitan Purcell. - Mów dalej, mów dalej!

- Nie, ona nigdy by tam nie poszła. Zawsze się ich bardzo bała.

- Gdzie, człowieku? Gdzie?

– Nie, Robin nigdy by tego nie zrobiła. Po prostu by nie mogła.

Na Dzikich Terenach nie było specjalnie gorąco, ale kiedy Purcell czekał na odpowiedź Charliego, pot spływał mu po twarzy strumieniami.

---

– **P**okaż mi to! – krzyczał Glaudot, z zachwytem. – Pokaż mi to! Pokaż mi!

Stał razem z Robin na małej polance w Krainie Cyklopów. Wokół nich piętrzyły się stosy najrozmaitszych skarbów, których nagle Glaudot zaczął się od niej domagać. Do końca nawet sobie nie uświadamiał, dlaczego. Czuł, że jego żelazna samokontrola, ześlizguje się i pozwolił jej się teraz ześlizgnąć, ponieważ chociaż raz, jego cały system nerwowy opanowały dzikie żądze i wiedział tylko, że teraz może zerwać krępujące go kajdany, i -- mając tę dziewczynę -- mógł podbić całą galaktykę.

Otaczały ich stosy klejnotów, cennych metali, śmiercionośnej broni, wszystko to Robin powołała do istnienia na rozkazy Glaudota, podczas gdy Glaudot uśmiechał się do niej. Jego uśmiech był niemal przerażający. Zaczęła już nawet nieco żałować, że przyszła tu razem z nim, ale przecież zawsze mogła odejść, co nie? W końcu nie była przykuta, do tego dziwnego człowieka z kosmosu. Ale sposób w jaki na nią patrzył, żądza widoczna w jego oczach, to też było przerażające. Nie wiedziała, jak sobie z tym poradzić. Och, mogła przecież, na przykład, stworzyć kopię Charliego. Charlie powinien wiedzieć, co robić. Charlie by jej pomógł. Charlie co prawda nie czytał książki, tak jak czytała ją ona, ale Charlie był bardziej praktyczny. Tylko, co by zrobili z duplikatem Charliego, kiedy to wszystko się skończy? Nie można przecież czegoś u-nie-tworzyć...

– Statek kosmiczny – nagle powiedział Glaudot. – Czy możesz stworzyć z niczego, statek kosmiczny?

---

**R**obin skinęła powoli głową.

## Johnny Mayhem

---

– Mogę. Tak, mogę. W książce jest mowa o wszystkim, jeśli chodzi o statki kosmiczne. Ale nie wiem, czy chcę to zrobić.

Glaudot puścił jej słowa mimo ucha. Nie było pośpiechu. Jednak myślał o przyszłości. Jeżeli Purcell mu się przeciwstawi, a Purcell mógł i był w stanie uciec statkiem eksploracyjnym, Glaudot będzie potrzebował jakiegoś innego statku, żeby wydostać się z tej planety...

– Dlaczego nie wiesz? – spytał, a jego głos w tym momencie był absolutnie spokojny. Mania, która go pochwyliła wcześniej, znajdowała się już całkowicie pod kontrolą, i do zadania tego pytania, motywowało go tylko jego żelazne dążenie do celu.

– Ja... ja nie wiem. Masz przecież już jeden statek kosmiczny. Zastanawiałam się więc, dlaczego. Po co potrzebny ci jeszcze jeden?

– To była tylko przelotna myśl – odpowiedział jej Glaudot.  
– Nieważne. Przykleknął obok stosu świecących w słońcu klejnotów. Pozwolił im przelecieć mu pomiędzy palcami. Nie, żąda go jeszcze nie opuściła. Ciągłe walczyła z jego wolą. A ponieważ wiedział, że będzie mógł ją pokonać w każdej chwili, lekkie popuszczanie wodzy swoim pragnieniom, sprawiało mu przyjemność.

Zaczerpnął pełną garść klejnotów. Znalazł wśród nich naszyjnik, podszedł bliżej do Robin i przełożył go jej przez głowę. Na tle opalonego przez słońce ciała dziewczyny, perły wydawały się wręcz śnieżno-białe. Perłowy wisior sięgał niemal do początku ciemnej doliny, przepięknie przecinającej jej klatkę piersiową i znikającej wraz z otaczającymi ją z obu stron opalonymi wypukłościami ciała, pod stanikiem ze złotej siateczki. Glaudot dotknął wisiora. Jego palce musnęły jej ciało. Gwałtownie, przyciągnął do siebie zaskoczoną Robin i pożądliwie pocałował jej wargi.

Przez moment pozostawała bierna. Ani nie oddała jego żaru, ani z nim nie walczyła. Ale kiedy jego dłonie zaczęły głaskać jej plecy, odsunęła się od niego i stanęła w pewnej odległości, patrząc na niego uważnie. Zdjęła z szyi naszyjnik i rzuciła mu pod nogi.

– Nigdy więcej nie chcę czegoś takiego – oznajmiła. – Dlaczego zrobiłeś... to, co zrobiłeś?

**P**oczuł rozlewający się w żyłach ogień. Pragnął go opanować. Potrzebował w tej chwili całej swojej samokontroli. Absolutnie całej. Ale ta dziewczyna, w pełnym rozkwicie swojej młodości... Nie, ona nie była dziewczyną, nie dla Glaudota. Nie wolno mu myśleć o niej, jako o dziewczynie. Ona była potęgą. A ta potęga będzie należała do niego -- jeżeli nie zrazi do siebie dziewczyny.

- Robimy takie rzeczy na mojej planecie - powiedział jej.  
- To jest coś w rodzaju hołdu dla piękna. Mam nadzieję, że nie wzięłaś tego zbyt mocno do siebie.

- Ja... to było dziwne. Z Charliem czasami, byłoby to w porządku... Ale z Charliem, to jest... co innego. Proszę cię, nie dotykaj mnie ponownie. Proszę, obiecaj mi to.

Glaudot wzruszył ramionami.

- Jeżeli sobie tego życzysz, moje drogie dziecko, jeżeli sobie tego życzysz...

Podwójne pragnienia opuściły go teraz, naprawdę uleciały. Wiedział to z całą pewnością. Ponieważ jego samokontrola była zagrożona bardziej przez jego własne, głupie pożądanie, niż przez tę niewinną dziewczynę. Musiał pomyśleć. Jasno. Bardziej jasno, niż kiedykolwiek wcześniej. Potrzebował tej dziewczyny jako sojusznika. Nie jako niewolnicy. To ona sama musiała chcieć. Musiała z nim współpracować. Dać jej wypaczony obraz reszty galaktyki? Przekonać ją, że panujące w galaktyce rządy były złe, totalitarne, kiedy tak naprawdę miały charakter demokratyczny? Przekonać ją, że tylko on sam, mając do dyspozycji jej nieograniczoną moc, mógłby naprawić nieprawidłowości na tysiącach planet? Była wystarczająco naiwna, żeby mógł spróbować takiego podejścia, pomyślał sobie. Poza tym mógłby uderzyć do niej od strony czegoś związanego z tworzeniem -- na przykład, może kreacja moralna. A tworzenie, było czymś, co powinna zrozumieć. Potem, mając ją za partnera, mógłby szybko zbudować maszynę wojenną, której połączone siły całej galaktyki, nie byłyby w stanie się przeciwstawić. Jej moc również, jak sobie to nagle uświadomił, mogłoby obejmować także

nieskończoną liczbę żołnierzy, do wykonywania obowiązków okupacyjnych i policyjnych. Taka potęga byłaby niezrównana.

– Jest coś, o czym chciałem ci opowiedzieć – rozpoczął. – To zajmie nam sporo czasu, i dobrze by było, gdyby nic nam przy tym nie przeszkadzało. To dlatego właśnie prosiłem, żebyś mnie tutaj przyprowadziła.

– A o czym chciałeś mi opowiedzieć?

Zanim Glaudot zdołał jej odpowiedzieć, usłyszeli niezbyt daleko w lesie, trzeszczące, chrupiące odgłosy. Zabrzmiały one dla Glaudota tak, jakby ktoś wrywał z korzeniami drzewa i od niechcienia odrzucał jakieś ogromne gązdy.

– Cyklopi! – Wrzasnęła z przerażeniem Robin i zaczęła uciekać.

Glaudot pobiegł za nią, potykając się, podnosząc na nogi i pędząc dalej w szaleńczym pościgu. Nie może jej pozwolić na ucieczkę od siebie. Musi biec za nią...

Żadna żywa istota, przekonywał sam siebie, podczas biegu, nie mogła wrywać z korzeniami tych olbrzymich drzew. Oczywiście trafiały się między nimi młodsze egzemplarze, ale nawet młode drzewa miały rozmiary rozłożystych dębów i klonów, na Ziemi.

Coś zaryczało z tyłu. Dźwięk miał wysokość niemalże zbyt niską dla ludzkiego ucha. Obrócił się do tyłu. Ziemia trzęsa się, a jej wielkie grudy, wylatywały na wszystkie strony. Gołe pnie drzew nagle rozsunęły się na boki, a młode drzewo, o rozmiarach potężnego dębu, uniosło się w niebo.

Za nim, wywijając nim, a potem odrzucając je na bok, pojawił się nagi mężczyzna, którego głowa wznosiła się niewiarygodnie wysoko, na wysokość stu pięćdziesięciu stóp. Trzęsąc się w ataku przerażenia, Glaudot popatrzył do góry, na olbrzymią, dziką twarz. Po jej obu stronach spływały skudłone włosy, splątana broda pełna była brudu i odłamków gałęzi drzew. Była to najdziksza twarz, jaką Glaudot widział kiedykolwiek w życiu.

Znajdowało się na niej tylko jedno oko, jedno ogromne oko, pośrodku twarzy. Miało ze trzy stopy średnicy!

– Cyklop! – znowu wrzasnęła Robin.

Chwilę później stworzenie nachyliło się i jednym zamaszystym ruchem wielkiej prawej ręki, złapało i uniosło do góry, dwa małe stworzenia, znajdujące się u jego stóp.

## Johnny Mayhem

---

Potem, wrywając z korzeniami młode drzewa o rozmiarach dębów, stworzenie pobiegło z powrotem w kierunku skalistych wzgórz, gdzie mieszkało, na podobieństwo starożytnych Cyklopów, na których Robin i Charlie naiwnie je wzorowali, w jaskini spoglądającej z góry, na morze.

---

- **G**dzie, człowieku? Gdzie? – dopytywał się kapitan Purcell.

- Nie wiem – odparł Charlie. – Naprawdę, nie wydaje mi się, żeby ona mogła to zrobić. Rozumie pan, ona zawsze, kiedy wdaliśmy się jakąś kłótnię, groziła mi, że tam ucieknie, ale zazwyczaj robiła to na wpół żartem. Przecież wie, jakie to niebezpieczne...

- Ale gdzie? Nie wiesz, że tonący brzytwy się chwyta? Czy to jeszcze nie dotarło do ciebie -- cała galaktyka może być w niebezpieczeństwie!

Charlie westchnął.

- Ja nie rozumiem za dużo z tej pańskiej galaktyki. Robin lepiej zna encyklopedię... ona powinna zrozumieć. A ja... ja tylko chcę, żeby Robin była bezpieczna. – Złapał głębszy oddech i oznajmił: – Ona zawsze groziła mi, że ucieknie do Krainy Cyklopów.

- A więc, natychmiast nas tam zaprowadź – odpowiedział mu kapitan Purcell...

---

**G**dyby teraz zaczął wrzeszczeć i wyć, popadłby w obłąd. Zdawał sobie z tego sprawę. Próbował więc utrzymać swój strach w ryzach. Czuł się tak, jakby wisiał na olbrzymim wahadle, bujającym się w miarę jak wymachiwała nimi olbrzymia ręka jednookiego olbrzyma. Robin dzieliła razem z nim to więzienie w zaciśniętej dłoni. Jej włosy powiewały na wietrze, kiedy olbrzymie ramię kołysało się w rytm ogromnych kroków giganta.

- Czy te stworzenia zjadają ludzi? – udało mu się spytać Robin. Musiał głośno krzyczeć, ponieważ wiatr tworzony przez ruch Cyklopa, był znaczny. Ziemia przelatowała

## Johnny Mayhem

---

szaleńczo gdzieś daleko, daleko, pod nimi, tworząc wirującą płataninę łąt zieleni, żółci i brązu.

- Stworzyliśmy ich do tego, by jedli ludzi. Tak jak w książce. Byliśmy przecież tylko dziećmi. To wydawało się... wydawało się takie ekscytujące.

Cyklop dalej sadił olbrzymimi susami, wrywając stojące mu na drodze drzewa razem z korzeniami. Po pewnym czasie, zaczął wspinać się na skalisty stok, i z większej wysokości Glaudot dostrzegł brzegi nieznanego morza. W końcu Cyklop dotarł do wejścia do jaskini, odcoczył ogromny głaz i zabrał więźniów do środka.

Glaudot usłyszał beczenie owiec.

---

- **P**rzecież tutaj jest cała fortuna, w klejnotach! - wykrzyknął kapitan Purcell. Znaleźli polanę w lesie, na której Robin stworzyła dla Glaudota królewski okup. Ludzie otoczyli go kołem, wielu z nich wyglądało na oszołomionych widokiem takiego bogactwa.

Charlie powiedział:

- Panie kapitanie, niech pan popatrzy.

Purcell podszedł do niego i zobaczył szeroki pokot powalonych drzew, ciągnący się daleko w las i ginący z pola widzenia za zakrętem.

- Co tędy przeszło? - wysapał z trudem.

- Cyklop - ponuro odparł Charlie. - Złapał ich Cyklop. Panie kapitanie, musimy się pośpieszyć. Proszę posłuchać, mamy teraz dwa konie. Mógłbym stworzyć konie dla wszystkich z nas, ale taka gromada ludzi, jadących w góry, prawdopodobnie została by dostrzeżona przez Cyklopów. Pan ruszy na piecho, na czele swoich ludzi. Niech jeden z nich pojedzie ze mną konno. - Mówiąc to, Charlie odpiął Mannlichera i odłożył go na bok.

- Och, chcesz może jakąś bardziej nowoczesną broń? - spytał go Purcell.

Charlie pokręcił przecząco głową.

- Dla zabawy, Robin i ja stworzyliśmy Cyklopów odpornych na wszelkie rodzaje ataków, poza tym wspomnianym w encyklopedii -- wbiciem pała w ich jedyne



oko. Aby chronić wszystkich innych ludzi, których stworzyliśmy, Cyklopi zostali tak skonstruowani, aby nigdy nie chcieli opuścić swoich terenów. Tak więc, jeżeli uda nam się wydostać stąd Robin i Glaudota, powinni być bezpieczni. No to, kto się zgłasza na ochotnika?

- Ja już siedziałem na końskim grzbiecie - zareagował Chandler. Charlie skinął głową i wsiadł na drugiego dereszowatego rumaka.

- Moi ludzie nadejdą tak szybko, jak tylko dadzą radę maszerować - obiecał kapitan Purcell.

Charlie skinął głową. Nie zawracał sobie głowy informowaniem kapitana, że Cyklopi w ciągu kilku minut są w stanie pokonać odległość, jakiej grupa maszerujących ludzi nie przejdzie przez wiele godzin. Ruszyli razem z Chandlerem szybkim galopem.

---

- **C**zy on nas zje od razu? - spytał Glaudot. Dziwne, ale zupełnie nie czuł strachu. Całkowicie nieoczekiwana natura ich, właśnie pozostającego w toku, porwania, wydawała mu się niemal zabawna.

Robin pokręciła przecząco głową.

- Wydaje mi się, że nie. Prawdopodobnie upije się i pójdzie spać. Stworzyliśmy Cyklopów jako straszne pijaczyny.

Cyklop odstawił swój kij, którym podpierał się podczas wędrówki, opierając go o ścianę. Laska miała grubość pnia całkiem wyrosniętego drzewa. Potem olbrzym uwalił się na legowisku, i na w pół leżąc wypił ogromną czarę wina. W oświetlonej światłem pochodni jaskini, kotłowało się siedemdziesiąt, czy osiemdziesiąt owiec, rozkładających się na noc, po tym jak trzy z nich dostarczyły posiłku dla giganta, który pożarł je na surowo.

- Czy nie da się czegoś zrobić? - dopytywał się Glaudot, którego sny o podboju galaktyki zaczęły rozwiewać się wobec perspektywy pożarcia żywcem.

- Zachowaj siły na czas, kiedy on uśnie - odparła Robin.

- Oczywiście, że jest coś, co możemy zrobić.

- Tak? Co?

## Johnny Mayhem

---

– Popatrz na tę jego łaskę. Widzisz, że jej koniec zwięża się niemal w szpic? Utwardzimy go w ogniu -- i wybijemy mu jedyne oko. Potem, rano, kiedy odtoczy ten kamień z wejścia jaskini, i na ślepo wyprowadzi swoje stado na dwór, ukryjemy się między owcami i uciekniemy stąd. A przynajmniej, tak to stało się w encyklopedii.

Glaudot przełknął mocno ślinę. Nigdy nie miał w sobie za wiele fizycznej odwagi ...

Dokładnie w tej właśnie chwili, usłyszeli głośny charkoczący, jęczący dźwięk. Robin oznajmiła:

- Posłuchaj, usnął. Chrapie.
- Ja... nie wydaje mi się, żeby to było możliwe...
- On ma zamiar zjeść nas na śniadanie. Chodź.

Wstali, szybko oraz w zupełnej ciszy, i zaczęli podkradać się do łaski. Miała grubość młodego drzewa. Prawdopodobnie będzie więc ciężka, być może zbyt ciężka, aby dali radę ją unieść.

– Teraz, tylko spokojnie – powiedziała Robin. Zwinnie wspięła się po wystęпах na ścianie jaskini i odepchnęła wielką łaskę. Następnie zeskoczyła na podłogę i złapała za przód potężnego drąga, podczas gdy Glaudot uchwycił za jego koniec.

- Ciężka – wysapał Glaudot.
- Ale mamy radę ją unieść, jak... jak mi się wydaje.
- Spróbujemy ją podnieść – powiedział Glaudot.

Spróbowali. Nawet wspólnymi siłami, ledwie byli w stanie unieść łaskę do góry.

- Spróbujemy uderzyć tym w coś – zaproponował Glaudot.

Nie mogli tego zrobić. Robin westchnęła. Położyli łaskę, powoli i cicho. Do wykonania tej pracy potrzeba było więcej ludzi, niż tylko ich dwójka. Dwóch, może trzech dodatkowych mężczyzn.

- Czekamy – ponuro powiedział Glaudot.

Robin popatrzyła z frustracją do góry, na dziurę w sklepieniu, przez którą dym z ogniska Cyklopa wydostawał się na dwór, w zbierającą się noc. Była beznadziejnie wysoko, chociaż pomoc z zewnątrz, mogłaby się do nich przez nią dostać. Ale czy mogli oczekiwać, że jakaś pomoc nadejdzie... ?

## Johnny Mayhem

---

- Czekamy – powtórzył Glaudot, pozbawionym nadziei głosem.

- Do śniadania – odparła Robin.

Glaudot nagłe załamał się.

- Nie chcę umierać! – zaszlochał. – Nie chcę umierać...

---

**N**ajciemniejsze z trzech słońc Purpury weszło nad horyzontem, oświetlając całą okolicę z jasnością trzech, albo czterech księżyców w pełni, na Ziemi.

- Mówiłem ci, że czułem dym! – zawołał Charlie, tryumfalnie wskazując na cienką smużkę dymu, wiszącą w chłodnym powietrzu, na tle rozświetlonego słabym światłem słonecznym nieba.

- Czy to ognisko? – spytał Chandler.

- Prawdopodobnie dymnik. Chodźmy.

Zostawili oba wierzchowce, aby pały się u podstawy skalistego zbocza. Ruszyli po nim do góry. W pewnej chwili Chandler potknął się i zaczął ześlizgiwać po skale, na dół, ale Charlie chwycił go za ramię, niemal wrywając mu je ze stawu. Charlie pomyślał sobie: musimy się pośpieszyć. Ich życie może od tego zależeć. Być może, nawet już w tej chwili jest za późno...

Dym wylatujący z dziury nad paleniskiem, szczypał w oczy. Stał się teraz bardzo intensywny. Nagle Charlie uświadomił sobie narastającą stromiznę skały. Zbocze stało się bardzo strome, niemal pionowe.

- Nie dam rady... nie uda mi się wejść już dalej! – wyjęczał Chandler.

- Musimy to zrobić, człowieku. Musimy.

---

- **B**udzi się – powiedziała Robin.

Glaudot załamał się zupełnie. Pewny siebie niedoszły zdobywca, teraz został zredukowany do poziomu trzęsącego się i jęczącego tchórza.

- M... może być głodny. O Boże, on może być głodny...

Ale Cyklop tylko odwrócił się we śnie na drugi bok i chrapał dalej. Ogień niemal się wypalił. Owce odpoczywały.

---

## Johnny Mayhem

---

Robin rozmyślała o Charliem, który pewnie był wiele mil stąd. Dzisiejszej nocy, księżyc powinien wzejść późno, pomyślała sobie. Często między sobą nazywali, najślabsze ze słońc Purpury, księżycem, pomimo że tak naprawdę była to gwiazda. Potem wzejdą pozostałe i nadejdzie świt. Jeżeli Cyklop będzie głodny i będzie miał ochotę na zmianę diety...

---

- **A**le przecież schodząc tam, na dół, udusisz się na śmierć – zaprotestował Chandler.

- To jest tylko dziura na dym. Nikt w niej nie udusi się na śmierć.

- Czy widzisz, co jest pod nią?

- Nie, za dużo dymu.

- To skąd wiesz, z jak wysoka spadniemy?

- Nie wiem. Będę musiał podjąć to ryzyko. Ale przecież, ty nie musisz iść ze mną.

- Pójdę wszędzie tam gdzie ty. W końcu po to zgłosiłem się na ochotnika.

- Dobrze. Jest już prawie ranek, tak więc do tej pory, ogień na dole, pewnie niemal się wypalił. Jeżeli wylądujesz w żarze, natychmiast uskokcz na bok. Zrozumiałeś?

- Tak – potwierdził Chandler.

Nie tracąc czasu na kolejne słowa, Charlie nagle opuścił się w pełną dymu dziurę, a następnie rozluźnił chwyt.

---

**J**askinię rozświetlały tylko przyćmione płomienie ognia. Wylądował w palenisku i szybko z niego wyskoczył. Iskry poleciały na wszystko strony. Któryś z baranów zabeczał. Na tle jednej ze ścian jaskini, Charlie zobaczył olbrzymie ciało śpiącego Cyklopa. Usłyszał coś za plecami i odwrócił się szybko. To był Chandler. Poleciały kolejne iskry. Owca ponownie zabeczała, tym razem nieco głośniej.

Podeszli do nich Robin i przybysz z kosmosu, prawdopodobnie Glaudot. Na twarzy Robin, widać było zdumienie. Glaudot wyglądał jak dziecko pogrążone w grozie, którą nie do końca rozumiało.

Charlie przez chwilę przycisnął mocno Robin do siebie.

---

– Cichutko – wyszeptał. – Posłuchajcie.

To niewielkie zamieszanie, zaniepokoiło Cyklopa. Na wprost się obudził. Z ust wydobywało mu się jakieś mamrotanie. Jedno z wielkich ramion uniosło się i opadło. Mogłoby zmiażdżyć całą ich czwórkę za jednym zamachem.

– Mamy tutaj drąg – powiedziała Robin. – Dokładnie tak samo jak w książce.

Wzięli go między siebie i zaczęli ciągnąć do żaru paleniska. Glaudot, który złapał za tył, przeciągnął swój koniec po podłodze. Drewno zaszurało po nagiej skale.

– Podnieś to do góry – polecił Charlie.

Glaudot zachichotał, a potem zaczął płakać. Wpadł w zupełną histerię.

– Zrobimy to we troje? – spytał Charlie.

– Nie wiem – odpowiedziała mu Robin.

Glaudot zaczął śmiać się histerycznie. Cyklop poruszył się. To pomogło Charliemu podjąć decyzję. Ostrożnie położył swój koniec laski olbrzyma na podłodze i podszedł do Glaudota. Uważnie i precyzyjnie walnął przybysza z kosmosu ciosem na punkt w szczękę, i tamten opadł mu w ramiona.

Potem wrócili do pala i dociągnęli go do ognia. Charlie kawałkiem węgla drzewnego przegrzebał i zgarnął razem żar. Zaczęli przypalać czubek olbrzymiej laski.

– Musimy się pośpieszyć – powiedziała Robin.

– Skóra jego powieki, to niemal pancerna płyta – odparł Charlie. – musimy mieć pewność, że czubek pala nie ześlizgnie się na bok.

Owce zaczęły się poruszać i coraz bardziej się ożywiały. Na dworze już świtało. Cyklop ziewnął przez sen i wyciągnął ramię, wielkości pnia dębu.

– Pośpieszmy się! – ponagliła Robin.

Cyklop przewrócił się, odwracając twarzą do ściany.

– Oko! – jęknął Charlie. – Nie uda nam się teraz dosięgnąć oka.

Nie przerwali jednak swojej pracy. Nie mogli zrobić niczego innego. Drewno na powierzchni wielkiego pala, przybrało ciemny wiśniowo-czerwony kolor. W końcu Charlie stwierdził:

– Wydaje mi się, że to wystarczy.

Cyklop ponownie się przewrócił. Mamy szczęście, pomyślał sobie Charlie, ale niemal natychmiast zmienił zdanie. Cyklop usiadł, sennie mrugając okiem. Ziewnął i przeciągnął się potężnie, a potem przez kilka chwil przypatrywał się ogłupiałym spojrzeniem, stada owiec. Charlie i pozostali stali zmrożeni tym widokiem, nie ośmielając się nawet drgnąć. Cyklop przejechał przez owce ręką, i dwie z nich uderzyły o ścianę z przerażonym przedśmiertnym beczeniem i trzaskiem łamanych kości. Olbrzym rozejrzał się pustym wzrokiem i zmrużył swoje wielkie oko. W oczywisty sposób rozglądał się za czymś innym do jedzenia. Nie chciał owcy. Ludzie...

Opadł na czworaka i zaczął macać dłońmi po podłodze. Przesunął ręką na zewnątrz. Dłoń klapnęła potężnie o podłogę, omijając Robin zaledwie o parę stóp. Cyklop przesunął się na kolanach do przodu, szukając, a z pyska ciekła mu ślina. Był głodny i miał ochotę na jedzenie...

Ręka przesunęła się ponownie, chwytając owcę. Dłoń uniosła się do góry i owca zabeczała. Szczęki zacisnęły się tylko raz, rozległo się chrupnięcie i owca znikła. Cyklop otarł z warg ślady krwi. Ręka poszła na dół, coraz bliżej...

---

– **P**al! – wszeptał dziko Charlie.

Podnieśli go do góry, i ustawili w poziomie. Charlie trzymał pal tuż za czubkiem, Robin zajęła pozycję za nim, zaś Chandler na końcu. Dźgnęli nim Cyklopa w rękę, w chwili kiedy znowu przesunęła się ona po podłodze. Olbrzym zaryczał z bólu i wściekłości, i płasnął obiema rękoma o skalną podłogę, próbując zmiążyć swoich ciemiężycieli.

Właśnie wtedy Glaudot odzyskał świadomość i stanął chwiejnie na nogach.

– Nie ruszaj się! – ostrzegł go Charlie, ryzykując ujawnienie miejsca w którym stał, w próbie uratowania życia Glaudota.

Ale Glaudot, widząc ogromne stworzenie, tak blisko siebie, zaczął uciekać. Sprawiało to wrażenie gonitwy w kole dla wiewiórek. Glaudot biegł i biegł, wydawało się jakby w miejscu, do czasu gdy Cyklop sięgnął w jego stronę dłonią i

poderwał go z podłogi. Zapiszczał przerażony. Rozległo się podobne chrupnięcie jak wcześniej -- i Glaudota już nie było...

Teraz Cyklop, którego apetyt wyraźnie się zaostrzył, zaczął bardziej energicznie przeszukiwać podłogę, szaleńczo młóćąc dłońmi i kolanami. Wielka głowa zawisa nisko, tuż nad podłogą, a jego jedyne oko wyteżało się jak u krótkowidza. W pewnej chwili potężna ręka pacnęła w skałę tak blisko nich, że Charlie poczuł, jak trzęsie się podłoga. Wycofywali się powoli w stronę ściany jaskini, a potwór niestrudzenie podążał za nimi. Ciągłe trzymali między sobą ciężki pał, ale nie zebrali jeszcze wystarczająco dużo sił ani odwagi, żeby postawić wszystko na swoją jedyną próbę. Jeżeli będzie nieudana...

Wycofali się już tak daleko, jak się dało. Za ich plecami była już tylko ściana. Potwór zbliżał się, z nisko opuszczoną głową, nosem praktycznie ocierając o ziemię. Zamiótł po podłodze gigantyczną łapą, zawadzając koniuszkiem palca Charliego, który niemal został znokautowany tym ciosem. Otrząsnął się kręcąc głową i wziął kilka głębokich wdechów, żeby wróciły mu siły.

- Teraz - zakomenderował, kiedy ręka odchyliła się do tyłu, aby rozpocząć kolejny zamaszysty łuk.

---

**P**obiegli z pałem prosto przed siebie, w kierunku jedyne go oka stworzenia.

Charlie z trudem tylko przypominał sobie później chwilę kontaktu, powódź płynów z gałki ocznej i krwi, która miała miejsce potem, czy też dzikie ryki i szaleńcze szarże potwora, w tą i z powrotem, na ślepo, po całej jaskini, pomiędzy beczącymi i uciekającymi w popłochu owcami. Po chwili oszalały Cyklop pobiegł do wejścia jaskini, odwalił wielki głaz, służący za drzwi, i wybiegł na dwór, w światło dnia.

Ruszył w dół, rozbijając wszystkie przeszkody, i zatrzymał się dopiero, kiedy, poobijany i pokrwawiony, dotarł do morza. Stanął na chwilę na wąskim pasku plaży, czerpiąc pełne garście wody do przemycia swojego zranionego oka. Potem rzucił się w przybrzeżne fale.

## Johnny Mayhem

---

Wyszli z jaskini i przyglądali się temu. Ruszyli w dół zbocza, podczas gdy potwór zagłębiał się coraz bardziej w morzu. W końcu ponad fale wystawała już tylko wielka głowa.

Dotarli nad brzeg.

Cyklop zniknął.

W kilka chwil później, dołączył do nich kapitan Purcell, razem z pozostałymi.

---

- **C**zy to znaczy, że nie chcecie wracać z nami na Ziemię? – spytał Purcell później, na statku.

- Nie, jeśli wszystko, co pan nam powiedział, jest prawdą – odparł Charlie. – Jesteśmy tutaj potrzebni.

- Tak – zgodził się Purcell. – Z waszą pomocą, galaktyka może zmienić się w świat dobrobytu, dla wszystkich.

- Poza tym, musimy pomyśleć o nauce dzieci, żeby przejęły to, po naszym odejściu. – Popatrzyła na Charliego. Zarumieniła się. – Na przykład naszych własnych – powiedziała bardzo szybko, a potem dodała: – Panie kapitanie, czy może nam pan udzielić ślubu?

Purcell rozpromienił się, skinął potwierdzająco głową, a potem to zrobił.

Później, Charlie zapytał:

- Kochanie, to chyba nie jest najważniejsza rzecz, jakiej nam tutaj brakowało?

Robin pokręciła przecząco głową.

- Bardzo mi się spodobała – oznajmiła.

KONIEC



